

W. TRAMPCZYŃSKI

W Ś R Ó D
Hakatystów

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14



111080

Warkow



WŚRÓD HAKATYSTÓW.



BIBLIOTEKA-DLA-MŁODZIEŻY

LISTOPAD.

Tom XI.

WŁODZIMIERZ TRĄMPCZYŃSKI.

WŚRÓD HAKATYSTÓW

Obrazek współczesny.

Z ILLUSTRACYAMI

WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”

1910

k. 142/82



11080

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

I.

Pociąg popołudniowy, tworzący najszybszą komunikację Warszawy ze stolicą Wielkopolski, Poznaniem, dla ludzi niezamożnych, wyruszyć miał dopiero za pół godziny, ale w ciasnej, brudnej poczekalni dworca kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, całe masy ludzi kręciły się już w tę i w ową stronę, całe stosy bagaży spoczywały na krzesłach i ławkach, potracano kobiety i dzieci, przepychano się przez tłum, rozmawiano krzykliwie i hałasowano.

W tę zbitą gromadę ludzi wszelkiego wieku i stanu, wcisnęła się także kobieta z dwojgiem małych dzieci, chłopcem i dziewczynką, a towarzyszący przybyłej mężczyzna, o wąsie szpakowatym i siwizną przyprószoną głowie, rozglądał się, ażeby wyszukać bodaj jakiegokolwiek miejsce dla niej i dla nich.

Kobieta była w stroju żalobnym, długi i gęsty welon zakrywał twarz, a w ruchach, chodzie i całej postawie, znać było wielkie zmęczenie, czy przebyta świeżo ciężką chorobę.

Mężczyzna rzekł gniewnie, nie dojrawszy nigdzie ani kącika wolnego.

— Ha! trudna rada!—mówił.— Proszę zatem poczekać tu na mój powrót, a ja tymczasem zajmę się kupnem biletów i wyeksperywowaniem rzeczy.

Kobieta pozostała sama i rzeczywiście przytuliła się do ściany, tak bowiem czuła się osłabioną, tak nogi drżały pod nią, że musiała szukać oparcia.

Dzieci, najwidoczniej nieprzyzwyczajone do takiej ciżby, garnęły się trwożnie pod skrzydła matczyne i rozszerzonymi źrenicami spoglądały na tę ustawiczną bieżącą, panującą w poczekalni.

— Janku i Basiu! — odezwała się łagodnie kobieta — a pamiętajcie o tem, ażeby serdecznie pocałować w ręce pana Czastowskiego przy pożegnaniu. Do końca życia powinniście też zachować wdzięczność w sercu dla tego zacnego przyjaciela waszego nieboszczyka ojca.

Potem dokończyła, jak gdyby już nie do dzieci, lecz do samej siebie, do tych myśli, które przebiegały ustawicznie przez skołataną głowę:

— Boże mój! gdyby nie pan Cząstowski, cóżby się ze mną, cóżby się z nami stało? Kazio miał przyjaciół sporo, lubiono go ogólnie, bo któż go mógł nie lubić, a nawet nie kochać! A jeden ten, jeden wytrwał do końca i uczucia serdeczne przeniósł poza grób.

Dwie łzy, ciężkie jak ołów, a piekące jak piolun, zawisły na rzęsach kobiety, wyjęła przeto chusteczkę z torebki ręcznej, odwinęła welon i otarta te perły.

— Mama każe nam kochać pana Cząstowskiego— rzekł chłopiec, nazwany Jankiem — a sama go martwi najwięcej. Przecież on tak prosił, ażeby mamusia przestała już płakać, a mama nie słucha.

Chłopiec spojrział przytem na matkę tak dobrotliwie i z takim łagodnym pół-uśmiechem na ustach, że wdowa pogłaskała go lekko, schyliła się i pocałowała pieścizotliwie dziecinę.

— Poprawię się, mój Janku, już nie będę martwiła pana Cząstowskiego! On ma rację, gdy mówi, że teraz potrzeba hartu duszy, silnej woli i ochoty do

pracy, a lzy powinny zastygnać na zawsze. Ale to tak trudno, moje dzieci, tak okropnie trudno! Cios był straszny, zanadto straszny...

Nie domówiła reszty, w tej bowiem chwili otworzono drzwi na peron i ciżba zaczęła się tłoczyć ku wyjściu, popychając jeszcze zawzięciej, kulakując się nawet, jak gdyby od jednej minuty zależało życie całe...

Kobieta, przyciśnięta do ściany impetem tłumu, kureczowo tylko przytrzymała dzieci, drżąc na myśl, że ta fala ludzka może unieść z sobą jej jedyne pociechy w smutnem, ponurem życiu, które przeczuciem, niezawodzącem ją nigdy, odgadywała.

Pan Czastowski bawił długo i blisko już było do drugiego dzwonka, gdy nareszcie pojawił się z biletami w rękę i schwyciwszy za drobne bagaże, zawołał na pół wesoło:

— Mało pozostało już czasu, pociąg za dziesięć minut odchodzi, pójdźmy zatem wyszukać miejsce, ażeby i pani i dzieciom było jak najwygodniej.

Ruszono tedy, Czastowski z bagażami przodem, a za nim wdowa z dziećmi.



Na dworcu kolejowym przed odejściem pociągu.

Z troskliwością niańki zacny człowiek usadowił dzieciarnię, złożył pakuneczki na półce i wręczył wdowie najpierw bilety i kwit na rzeczy, a następnie sięgnął do pugilarosu i wydobyl dobrze zachowaną 25-cio rublówkę.

— Co pan robi? — obruszyła się na dobre kobieta. — Mam jeszcze kilka złotych, te mi wystarczą na dorożkę w Poznaniu, a nawet na szklankę herbaty i bułkę dla dzieci.

— Tylko żadnych ceregieli! — zawołał Cząstowski — nie jesteśmy sami, ludzie zwrócają uwagę na nas. Proszę brać i nie mówić. Pieniądze zawsze się przydadzą, a zresztą, przecież to nie żadna darowizna. Gdy pani znajdzie kawałek chleba, to niewątpliwie, że mi pani odda, a tymczasem obowiązek nakazuje mi dopomóc wdowie po najlepszym przyjacielu, jakiego miałem w życiu.

Cząstowski zniżył głos i mówił dalej:

— Jedzie pani do tego Poznania, nie znając nikogo z rodziny męża i nie wiedząc wcale, jakie tam zgotują przyjęcie. Prawdę mówiąc, nawet nie rozumiem, po co i na co wyrusza pani w tę daleką podróż między ludzi obcych?

— Przecież to nie obcy, to Polacy, a w dodatku najbliższa rodzina męża, brat, siostra, ciotki. Przytem Kazio, choć śmierci tak naglej i bliżkiej nigdy nie przeczuwał, zawsze mówił:

— „Majątku ci nie zostawię po sobie, ale na wypadek, broń Boże! jakiegoś nieszczęścia, pamiętaj, że mam w Poznańskim najbliższych krewnych. Oni cię nie opuszczą“.

— Jadę zatem, spełniając wolę Kazia, choć nie bez wielkiego żalu rozłączam się z Warszawą, gdzie się urodziłam, urosłam i gdzie tyle przeżyłam lat szczęśliwych.

Rozległ się trzeci dzwonek.

Cząstowski wstał i niemal przemocą wsunął do torebki podróżnej 25-rublówkę.

— Daj Boże, ażeby przewidywania Kazia nie zawiodły panią!..

— Gdyby jednak miało być źle, to proszę wracać—mówił dalej w sposób urywany. — Na to są właśnie te pieniądze. Jeszcze w Warszawie pani z głodu umrzeć nie pozwolimy. W Poznaniu może pozwolą.

Pani Jadwiga Przegrodzka szlochała i tylko zdołała bąkać urywane słowa.

Jak gdyby dla tem większego przygnębienia wędrującej w świat daleki nieszczęśliwej wdowy z sierotami, niebo zasnęło się mgłą gęstą, a wieczorem o szyby wagonu zaczął bić wielkimi kroplami deszcz, który nie opuszczał podróżnych aż do samego Poznania.

*

*

Ten deszcz też psuł humor panu Julianowi Przegrodzkiemu, zamożnemu obywatelowi poznańskiemu, nieprzyzwyczajonemu do wycieczek po nocy, prowadzącemu tryb życia regularny.

Teraz musiał odegnać gwałtownie cisnący się na oczy sen i musiał zamówić dorożkę, ażeby podążyć na oddalony dość znacznie od centrum dworzec, gdzie około pierwszej po północy oczekiwany jest codziennie pociąg, dążący do Aleksandrowa.

Pociąg nadjechał; konduktorzy z trzaskiem otwierali drzwi przedziałów, oznajmiając rozespanym podróżnym kilkunasto-minutowy postój w Poznaniu, że jednak osób przybyło nie wiele, więc pan Julian mógł spokojnie obserwować wszystkich wysiadających.

Dojrzał też w końcu, że na peronie ukazała się zakwefiona dama, która z kolei wysadzała dzieci, wiel-

kiemi oczyma, choć nieśmiało, rozglądające się w nowem otoczeniu.

Kobieta z dziećmi weszła do poczekalni i tutaj stawszy malec zapytał matki:

— Czy to już Poznań, mamusiu?

— Już, mój Janeczku!— odrzekła łagodnie.

— A gdzie teraz pójdziemy? Czy tu będziemy spali?

— Mamusiu!—zawtórowało dziewczę— spać mi się chce i napilabym się herbatki.

Kobieta uniosła welon z twarzy, pogłaskała dziewczynkę i rzekła miękko:

— Nie bójcie się, moje aniołki, i herbata się znajdzie i łóżko dla nas. Myślałam, że ktokolwiek przybędzie po nas na kolej. Widocznie nie mogli i trzeba nam będzie poszukać jakiego hotelu, a jutro odszukamy rodzinę.

— A czy ten stryj daleko mieszka? — zapytał znów Janek.

— Nie wiem, moje dziecko! Poznania nie znam, ale przecież wszędzie znajdują się ludzie dobrzy, którzy nam wskażą do stryja drogę.

Mówiła to łagodnie, spokojnie napozór, ale bacz-

niejszy słuchacz poznałby odrazu, że mówiącą owdładał lęk, niepokój i bezradność.

Pan Julian przyglądał się bardzo uważnie, lękał się jednak przybliżyć, nie wiedząc kim jest przybyła kobieta. Wreszcie zdecydował się, postąpił o kilka kroków i zagadnął: •

— W takim razie, kto wie, czy nie jest pani tą osobą, na którą czekam tutaj na stacyi? Jestem Przegrodzki...

Wrażenie tych słów było za silne dla nieszczęśliwej wdowy po Kazimierzu.

Na razie zatrzęsła się tylko, dreszcz przebiegł jej ciało, aż wreszcie rzuciła się naprzód i wyciągając ręce przed siebie, słaniać się poczęła na nogach, które drżały pod nią.

Julian pochwycił ją w porę, podparł, posadził i rzekł czule:

— Proszę się nie wzruszać. Co się stało, to się odstać nie może...

Pomimo to sam silnie był wzruszony i przejęty do głębi tem powitaniem w tak dziwnych okolicznościach.

Pan Julian, zajęty matką, nie mógł poświęcić

w pierwszej chwili uwagi sierotom, kiedy jednk minął pierwszy impet rozrzewnienia, zwrócił się do dzieci serdecznie, łagodnie pieszcząc i całując chłopca i dziewczynkę.

Wdowa przyjęła to wdzięcznem sercem, a w tem sercu wznosiło się przecucie, że jednak nie zły to musi być człowiek, ten brat męża i że Kazio miał rację, gdy radził po jego śmierci szukać oparcia tylko w najbliższej rodzinie poznańskiej.

— Czas nam jednak wyruszyć już ku domowi — zawołał wreszcie Przegrodzki.—Moja żona czeka z kolacją, a i dzieciom przyda się wypoczynek po dalekiej podróży.

Wdowa ujęła dzieci za rękę i wsparta na ramieniu brata męzowskiego, przez dużą, przestronną, widną sieni wspaniałego dworca, skierowała się do głównego wyjścia.

Młodej wdowie roztajało serce, gdy poczuła się w otoczeniu ludzi blizkich związkiem krwi, gdy patrzyła na malujące się na twarzach Janka i Basi zadowolenie, i na każdym kroku spotykała z uprzejmością, a nawet serdecznością brata Kazimierza.

Żona Juliana niemniej okazała się uprzejmą, a dla dzieci serdeczną, pomyślała nawet o różnych słodkich przysmakach na ich przyjęcie. Wiedziała pani Julianowa, że mąż jej wysoko cenił swoje nazwisko, dotąd niczem nieskalane, Przegrodzkich na Przegrodowie, wiedziała również, że najmilszy dla Polaka jest tytuł „stryja“. To nie żaden „Onkel“ niemiecki.

Pomimo to panią Julianową trapiła ciekawość dowiedzieć się, co się stało, że bratowa tak nagle owdowiła, i że o chorobie Kazimierza Przegrodzkiego żadne przedtem do Poznania nie nadeszły wiadomości.

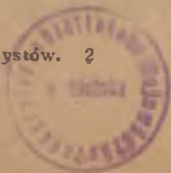
Ciekawość pani Julianowej miała tego wieczoru yozostać jeszcze nie zaspokojoną, kiedy bowiem po koiacyi Jagusia zajęła się układaniem dzieci do spoczynku i kiedy zdawało się, że starsi, pozostawszy sami, będą mogli swobodnie omówić wszystko, Przegrodzki, jak gdyby lękając się, ażeby wynurzenia młodej kobiety nie rozczuliły go i nie zepsuły spoczynku, uprzedził mogące nastąpić wypadki i zbliżając się do bratowej, zawołał:

— Na dzisiaj dosyć tych wrażeń... Późno już i jeszcze gotów nas świt schwyć przy gawędce, przezywam bowiem, że do opowiadania materyału znajdzie

się bardzo dużo. Tam u was, w Warszawie, dzieją się rzeczy zdumiewające! Głowy potraciliście zupełnie! No! ale „o tem—potem“, jak się to zwykle mówić. Przyjdzie czas na wszystko, a pani Jadwiga... Tfy! do licha, przecież rodzonej bratowej nie potrzebuję tytułować „panią“—poprawił się Julian i uśmiechnął wesoło, a Jadwinia zapewne więcej jeszcze snu spragniona od nas.

Wszyscy powstali, oddano sobie pięknie „dobranoc“, Julianowa wprowadziła wdowę do pokoju „gościnnego“, gdzie już snem twardym spały dzieci, i cisza zaległa w mieszkaniu Przegrodzkich. Tylko Kazimierzowa długo jeszcze w noc paliła świecę, wstawała z łóżka, podchodziła od jednego dziecka do drugiego, przy każdym klęczała długo, modliła się, błogosławiła, a łzy matczyne, te najdroższe perły, spadały na główki uśpionych.

Nad ranem dopiero senność przemogła, i młoda wdowa zapomniała o wszystkim, co przeżyła i przeboleła.



II.

Wszyscy spali długo i twardo, prawie też było już około południa, gdy rodzina Przegrodzkich znalazła się w saloniku i teraz dopiero przybyła z Warszawy pani Jadwiga, rozpoczęła swoją bolesną opowieść.

Julian słuchał w milczeniu, tylko ocierał łzy, gdy Jadwiga opowiadała o swoim szczęśliwym małżeńskim pożyciu i gdy, nie hamując nawet gwałtownie do oczu cisnących się łez, kreśliła prostemi, niewyszukanemi słowy, cały przebieg owego „dnia konstytucyi“, wolności, który miał się zakończyć na placu Teatralnym...

— Miałam jakieś złe przeczucie — mówiła nieszczęśliwa kobieta. — Kazio jednak nie podzielał tych

obaw. Jak dziecko, cieszył się, rozpromieniony był, w domu usiedzieć nie mógł, ani obiadu nie dojadł i tyłko biegał po ulicach, chcąc dowiedzieć się czegoś nowego.

— Nad wieczorem — ciągnęła wdowa dalej — jeszcze zmrok nawet nie zapadł, Kazio wpadł do domu i zawołał:

— Przejdziemy się teraz. Powiadam ci, jaki ruch na mieście, jakie ożywienie na wszystkich twarzach, jaki ogień w oczach, zapal w sercach, to nie da się opisać! Trzeba to odczuć, trzeba żyć wspólnie z ulicą.

— A dzieci zabierz — dodał — Janek i Basia zobaczą dziś Warszawę, w tej chwili odrodzenia. To im utkwi w pamięci na całe życie.

— Chociaż miałam złe przecucie, to jednak widząc, że on jest rozgrzany nowymi wypadkami. mimo-woli przybrałam także maskę weselości i w ten sposób przeszliśmy ulicę Marszałkowską, skręciliśmy przez Świętokrzyską ku Nowemu Światu, potem pociągnęliśmy Krakowskim Przedmieściem, Trębacką do placu Teatralnego.

Rzeczywiście otworzył się tutaj oczom widok podniosły. Na placu tłuny, w takt pieśni narodowych, wygrywanych przez orkiestrę, kołyszące się, falujące, wesołe, szczęśliwe.

Przystanęliśmy pod filarami gmachu teatralnego, ażeby z podwyższenia ogarnąć wzrokiem te rzesze ludzi.

Wdowa przerwała na chwilę, przetarła ręką czoło, jakby pragnąc skupić cisnące się do głowy myśli i mówiła dalej, wstrząsając się całym ciałem nerwowo, febrycznie:

— Wtem zakotłowało się przy bramie, wiodącej do ratusza; tłum, który ciągle wzrastał, zaczął kołatać do bramy, a z tysiąca piersi wypłynęła prośba o uwolnienie uwięzionych w ratuszu więźniów politycznych.

Kaziowi oczy błyszczały wtedy jakimś niewidywanym poprzednio zapalem.

— Zadowolony jestem, że przyszedłem tutaj — mówił—drugiej chwili podobnej nigdy w życiu z pewnością się nie doczekam!

— I nie doczekał...—szepnął głucho Julian Przegrodzki, a w słowach jego dźwięczała łza.

Wdowa wstrząsnęła się i nie mogła mówić dalej. Wzruszenie zawładnęło zbyt silnie, łzy strumieniem puściły się z oczu, a na ten widok nieszczęśliwej kobiety nawet Julian, choć mężczyzna, nie mógł się powstrzymać i dał upust swojemu rozrzewnieniu. Ocierała również łzy, spływające po pulchnych policzkach, pani Julianowa.

— Może dajmy pokój? — zrobił uwagę Julian.— Odlóżmy na inny raz tę opowieść..

— Nie, nie! — jęknęła Jadwiga. — Drugi raz nie chciałabym wznawiać tej rany. Lepiej skończyć..

— Mąż mój padł ranny ciężko na ulicach Warszawy. Salwa wystrzałów karabinowych powaliła go na bruk ulicy.

Odtąd majaczeją już tylko w mej głowie dalsze wypadki. Książdz, który przybył z wiatykiem, dzwonek kościelny, gromnica, modły kapłana— wszystko to wydaje mi się dziś snem jakimś przykrym. A potem— potem — wszystko ucichło... Doktor wyszedł, pozostał tylko pan Czastowski, który coś wlewał mi w usta, bryzgał na twarz eterem, zajmował się dziećmi, wydawał rozkazy, rozpisywał listy, telegramy i robił wszystko.

— Zaczny to musi być człowiek!—rzekł przez łzy Julian Przegrodzki.

— Zaczny i wierny w przyjaźni, aż poza grób — potwierdziła to z mocą wdowa.—Złożył on tego na każdym kroku niezbite dowody.

W biurku Kazia znalazło się kilka rubli, ja zaś posiadałam w portmonetce zaledwie tyle, że tą sumą z trudem opędzić mogłam wydatki na dom do czasu wypłaty następnej pensyi.

— Oto wszystko — zakończyła wdowa. — Reszta w ręku waszym i Boga!

Cisza zaległa w pokoju taka, że słychać było brzęk przelatującej muchy, pan Julian ocierał łzy, wdowa łkała.

Ciszę przerwała wreszcie pani Zuzanna, która odezwiała się cicho:

— Stało się! Wola Boska!

— Widocznie taki koniec sądzony był dla Kazia. Niech więc odpoczywa biedak w pokoju! Teraz jednak potrzeba dobrze zastanowić się nad przyszłością, trudno bowiem opłakiwać stratę i życie trawić na rozpacz i załamywaniu rąk.

— Przecież o tem pomyślimy! — zawołał pan Julian — to się rozumie samo przez się, ale niema jeszcze gwałtu! Kilka dni, czy tygodni, prędzej czy później, w tym wypadku nie uczynią różnicy; takie rzeczy trzeba dobrze rozważyć, zastanowić się poważnie, wybrać coś odpowiedniego.

— Dlaczego nie mamy dziś o tem pomówić? — usprawiedliwiała się starsza Przegrodzka. — Przeciwnie, im prędzej ustali się los Jadwigi, tem lepiej dla niej i dla dzieci.

— Owszem, i ja szczerze pragnęłabym coś postanowić z sobą — wtrąciła się do rozmowy wdowa. — Najzupełniej zgadzam się z bratową, że życia nie można przepłakać.

Spełniłam wolę Kazia i przyjechałam do Poznania, gdyby jednak...

Urwała nagle, a oboje Przegrodzcy spojrzeli na nią zdziwieni.

— Jakież tu może być „gdyby?“ — czuł się w obowiązku zaprotestować Julian. — Z rękawa niczego się oczywiście nie wytrząśnie, to rzecz pewna, na poczekaniu się również nie znajdzie nic stosownego, to tak-

że rzecz pewna. Trzeba się poradzić, przepytąć, pogadać z Indźmi doświadczonymi.

Jeżeli zaś tak koniecznie chodzi o pośpiech, to mogę zaraz jutro zacząć działanie.

III.

Cząstowski codziennie wyglądał listu z Poznania, oprócz jednak krótkiej pocztówki z zawiadomieniem o szczęśliwym przybyciu, nie otrzymał żadnej obszernej relacji.

Dziwiło go to wielce, smuciło, ale ani na chwilę nie przypuszczał, ażeby wdowa po przyjacielu miała zobojętnieć dla niego i zapomnieć o dawnej długoletniej zażyłości.

I nie mylił się pod tym względem. Jadwidze duszno, ciasno było w mieście nad Wartą, wśród ludzi nieznanym czuła się obcą, tęsknota nie opuszczała jej i wzrastała w miarę upływu długich dni, tygodni. Wszystkie te uczucia pragnęła nieraz wylać na papier, podzielić się wrażeniami z człowiekiem, który najlepiej mógł ją zrozumieć; ale z drugiej strony chciała także



Zamek cesarski w Poznaniu, nowa twierdza niemieczyny.

uspokoić przyjaciela doniesieniem, że przestała być ciężarem rodzinie męża i zaczęła pracować na siebie i dzieci.

Tego jednak długo nie mogła uczynić, wszystko bowiem szło jak z kamienia.

Pan Julian nie siedział z założonemi rękoma, biegał, przepytывał, szukał, wszystkie te starania jednak nie wydały owoców.

Każdy tu trzymał się rękoma i nogami zdobytego z trudem kawałka chleba; dla nowej pracownicy nie było miejsca.

O zdobyciu lekcyi nie mogło być mowy, na przeszkodzie bowiem stała nieznajomość języka niemieckiego, a ta nieznajomość równie była przeszkodą przy objęciu wakującej posady kasyerki, sprzedawczki lub panny podręcznej w sklepie.

I miały dnie długie, miały tygodnie, aż wreszcie w pewną niedzielę grudniową zadzwonił do mieszkania Cząstowskich listonosz.

— Nareszcie — zawołał Cząstowski i rozerwał kopertę, a ręce trzęsły mu się z obawy wzruszenia, jakich może doznać. Wreszcie rozwinął list:

Krzywin, w grudniu 1905 roku.

„Nie wiem, jakich słów użyć, ażeby wyjednać od Pana i Reginki przebaczenie za tak długie milczenie z mej strony. Wiem, że mi sprzyjacie serdecznie i że najlepszych, najserdeczniejszych mam w was przyjaciół, tem większy też uczuwam wstyd i tem większe czynię sobie samej wyrzuty. Ale na usprawienie moje niechaj posłuży fakt, że nie chciałam wam życia zatruwać, donosząc, że źle mi się dzieje w Poznaniu. Dlatego też dziś dopiero siedam do tego listu, ażeby się podzielić wszystkim, co odczuwam.

„Godzina 10 wieczorem, teraz mogę odetchnąć swobodniej. Po całodziennej ciężkiej, twardej pracy (tej jednak nigdy się nie lękam), zamknęłam sklep, a mówiąc po poznańsku „handel“, obliczyłam targi, wydałam rozporządzenia na jutro, Janka i Basię ułożyłam do snu i rozpoczynam to pisanie.

„Na wstępie uprzedzić muszę, że ten sklep, to moja własność! Tak jest! Zrobiono mnie właścicielką, bo innej rady nie było. O posadzie mi-

mo wyteżonych starań, ani mowy być nie mogło, smutne położenie naszego kraju sprawiło, że polak na swojej ziemi być może tylko jakimś popychadłem, gdy nie zna innego języka, oprócz ojczystego. Kiedy też posłyszano, nawet w najbardziej polskich firmach, że nie władam niemieckim, ani mówić nie chciano o mojej kandydaturze.

„Brak języka niemieckiego tamował wszystkie najlepsze chęci, choć Julian wyteżał siły i zużywał rozległe stosunki swoje, ażeby zdobyć jakąkolwiek posiadłość dla mnie. Wszystkie zabiegi nie zdały się na nic, a dni, tygodnie mijały, nie przynosząc żadnego rezultatu. Straszne to było. Zdawało mi się, że jestem intruzem w rodzinie, ciężarem, gratem niepotrzebnym, który obecnością swoją zakłóca zwykły porządek rzeczy.

„Nareszcie pewnego dnia przyszedł Julian ożywiony i rozpogodzony z Domu przemysłowego i czulej, niż zwykle, przywitawszy się z Jankiem i Basią, zawołał:

„— No! nareszcie znalazłem coś odpowiedniego. W Krzywiniu jest domek bardzo ładny,

dobrze zbudowany, z ogródkiem, w samym środku rynku do nabycia.

„Nadzieja, która po tem powitaniu wstąpiła w serce moje, zniknęła odrazu, sądziłam bowiem że nie o mnie tu chodzi, lecz o jakąś tranzakcyę stosowną dla Juliana. On jednak mówił dalej:

„— Domek ten jest dotąd w rękach niemiec-
kich, ale Biedermann sprytny, jak zawsze, już tam zapuścił swoje sieci i owego Krügera omotał, że ten przyjął zadatek, choć mu tego hakaty-
ści nigdy nie przebaczą.

„Zakupienie domku tego w Krzywiniu, oprócz korzyści moralnej, przynosi jeszcze korzyść materyalną. Dwie muchy zabijam jednym uderzeniem. Ow Krüger dorobił się wcale pokaźnej fortunki, otrzymywał bowiem handel wszelkimi towarami, jakich w małym mieście potrzeba. Handel zaopatrzony jest doskonale, zapasy są duże, a Biederman powiada, że te zapasy są więcej warte, niż wszystko razem z chałupą i ogródkiem.

„Posiadłość Krügera kupię wraz z handlem, na miejscu zaś osadzimy Jadwigę. Z dochodów opłacać mi będzie uczciwy procent, pięć od sta,

od włożonego kapitału, a gdy się już dobrze włoży, z handlem oswoi i zacznie odkładać, to wtedy będzie spłacała ratami i czasem dojdzie do zapewnienia bytu, a może nawet dobrobytu sobie i dzieciom.

„Nie możecie, Szanowni Państwo, nawet wyobrazić sobie, jaka opanowała mnie radość po tych słowach Juliana. Pracy, pracy, pracy mi dajcie, choćby najcięższej, choćby najznojniejszej, byle tylko nie być nikomu kulą u nogi! Temi słowami prostemi modliłam się codzień do Boga, a on wysłuchał prośby i łkania moje.

„Cały wieczór spędziliśmy nad układaniem planów, a na drugi dzień Julian zaprowadził mnie do jednego z poważniejszych kupców, aby ten mnie obznajmił bodaj po łebkach z głównymi arkanami handlu, sam zaś wyruszył do Krzywina, gdzie na krótkim targu dobito interesu.

„I oto list ten piszę już nie z Poznania, lecz z Krzywina. Od dwóch tygodni znajduję się w tej nowej siedzibie mojej i nie narzekam. Miasteczko małe, ale ładne, położone nad wspaniałym jeziorem z wysepką pośrodku, a w krąg tych wód cią-

gną się lasy nieprzejrzane. Wszędzie czystość wzorowa, wszędzie ład taki, że ani porównać nie można mojej miejsciny z powiatowemi miastami u nas.

„Zajęcia mam ogromnie dużo, handel bowiem idzie dawnym rozpędem, ja zaś wszystkiego uczyć się muszę od początku. Wstaję o świcie, spać się kładę krótko przed północą, ale to mnie nie męczy, przeciwnie, ta nadzieja, że pracuję na siebie, zdobędę niezależność i byt, dodaje mi sił do pracy.

„Zobaczycie, Szanowni Państwo, jaka to ze mnie zrobi się jeszcze kupcowa! Darujcie mi jednak, gdybym nie tak często pisywała, jak to być powinno. Godziny ukradać trzeba.

„Myślcie często o mnie i piszcie, choćby codzień, choćby dwa razy na dzień. Tak mnie wszystko przecież obchodzi, co dotyczy was, moi państwo, i Warszawy kochanej.

„Dzięki Bogu, zdrowie nam wszystkim służy, mam też niepłonną nadzieję, że z listu waszego, który chyba niezadługo otrzymam, dowiem się, iż najdroższej Reginie lepiej się zrobiło.

„Piszcie długo, obszernie, bardzo obszernie i pamiętajcie o mnie zawsze tak szczerze, ja o was nie zapomnę.

Całą duszą państwu oddana,
Jadwiga Przegrodzka.

PS. A dwudziestopięć-rublowkę trzymam wciąż nietkniętą. Uczuwam jakiś lęk zabobonny zmienić ją, zdaje mi się bowiem, że odciąłabym sobie tym sposobem drogę powrotną do Warszawy“.

Jak każdego Polaka, tak Polkę, którzy zdobywają nową placówkę i nowy warsztat do pracy, zarówno w mieście, jak i okolicy, przyjęto Jadwigę z wielką życzliwością i rzeczywiście rezultaty w pierwszych tygodniach były niespodziewanie doskonałe.

Handel szedł dobrze, targi osiągnano duże, więc też młoda Przegrodzka, choć pracować musiała bez przesady od świtu do późnej nocy, z zadowoleniem wysyłać musiała raporty do Poznania o niesłabnącem powodzeniu interesu.

Jadwiga nie narażała się nikomu, nie żyła z nikim, bo na to czasu zabrakłoby jej nawet i tylko co-

dziennie rano wykradała sobie godzinę, ażeby spieścić do starożytnej, wzorowo utrzymanej świątyni i tu podczas nabożeństwa słała modły dziękczynne do Boga za zgotowanie jej losu, z którego zupełnie czuła się zadowoloną.

Stan taki błogi trwał kilka pierwszych tygodni, i nowa właścicielka handlu obeznawszy się już dobrze z biegiem interesu, zamierzała rozszerzyć nawet warsztat swojej pracy przez wprowadzenie pewnych działów, dotąd nie eksploatowanych należycie, gdy nagle stało się coś dziwnego i niezrozumiałego dla niej. Siły nie osłabły młodej Przegrodzkiej i tak samo, jak od początku, nie żałowała rąk i pracy, a jednak obroty zaczęły się zmniejszać w sposób zastraszający.

Zrazu pocieszała się, że to tylko jakiś zastój chwilowy, nie doniosła też o tej zmianie Julianowi, nie chcąc go martwić bezpotrzebnie, kiedy jednak minął jeden i drugi dzień targowy, jak wiadomo, po małych miastach najważniejszy dla kupców, a obroty nie dochodziły nawet do połowy tego, co bywało dawniej w kasie, Jadwigę opanowała trwoga.

Co gorzej, zaczęła sobie robić wyrzuty, że może

to jej niezdolność sprawia ten upadek wyrobionego z dawien dawna handlu.

Bodwoiła przez to wysiłki. Uprzejmością wyszukaną starała się przyciągnąć klientów, dla każdego miała uśmiech i słowo serdeczne na ustach. A jednak zacięło się coś i psuło bieg trybów.

Dopiero pewnego dnia otworzyły się znękanej tem niepowodzeniem kupcowej oczy, a był to dzień targowy, wyjątkowo ożywiony.

Jadwiga ujrzała, że dwóch ludzi otoczyło znanego jej dobrze odbiorcę, gospodarza zamożnego w Łubicy, starszego już człowieka, Polaka i katolika, ale noszącego niemieckie nazwisko, Kleber; ci dwaj ludzie stanęli przed samemi drzwiami, wiodącemi do jej sklepu i coś z ogniem i ferworem tłómaczyli Kleberowi, wymachując rękoma, przekonywując, dowodząc, podnosząc głos z zaciętrzewieniem.

Zaciekawiło to nieco Jadwigę, więc przyglądała się przez chwilę tej scenie.

Po chwili spostrzegła, że Kleber, wzburzony do żywego i zaczerwieniony jak burak, odtrącił owych dwóch ludzi, aż się potoczyli na obie strony chodni-

ka, zaklął i pchnąwszy silnie drzwi, wszedł do jej sklepu.

— A to psiawiary! — zaklął i pogroził pięścią w stronę owych ludzi po przez szybę sklepową, poczem dopiero zdjął kapelusz i zwracając się do właścicielki handlu, poprawił się i powitał ją starodawnem :

„Niech będzie pochwalony!“

— Na wieki! — odpowiedziała skwapliwie Jadwiga i zapytała: — Cóż to za przeprawę mieliście, panie gospodarzu?

— A dyc to o panią musiałem się skłócić z tymi gałganami! — odparł Kleber z uśmiechem.

— O mnie?... — ze zdumieniem zawołała Jadwiga.

— A juści! Bo to widzi paniczka, te hakatysty, to oni strawić tego nie mogą, że tu u nas, w Krzewiniu, mamy teraz handel polski. Na Krügera pomstują za to, że sprzedał swój interes, podobno go nawet w nocy napadnięto i tak zbito, że leży stary, a na jedno oko nic nie widzi. Oni powiadają, że panią trzeba ugłodzić, wypuścili też całą zgrają agentów, którzy najrozmaitszemi sposobami, włączając się po rynku, od-

ciągają tych, którzy chcą tutaj robić zakupy. Wódka i piwo leje się w szynku u Morala, a gdy to nie skutkuje, bo nasi pani przecież nie chcą opuścić, to oni uciekają się do wygrażeń, nawet do pięści. A żydzi trzymają z agentem, boć to dla nich klęska, gdy nasz brat bierze się do handlu.

— Cóż ja im złego zrobiłam? — szepnęła Jadwiga i łzy błysnęły w jej oczach.

— Co im tam paniczka mogła zrobić złego? — zawołał. — Toć dosyć, że pani jest Polką, i naszej wiary. Więcej nie potrzeba. Na mnie szczególnie się oni uwzięli, nazywam się bowiem Kleber i podług nich, powinienym być Niemcem. Tak mnie też obskoczyli, jak zaczęli namawiać, klaskać, a potem grozić, tak sobie nie mogłem dać długo rady. Ale wkońcu zabrakło już cierpliwości i jak pani widziała, grzmotnąłem ich porządnie.

Jadwiga smutnie patrzyła przed siebie, co widząc pocziwy Kleber, rzekł łagodnie:

— Ale to nic! Powiedziałem, że nasi pani nie odstąpią, a Niemcy też będą przychodzili, chyba że założy kto dla nich drugi taki sam handel pod bokiem.

Kleber mówił jeszcze dużo, objaśniał i w końcu, załatwiwszy sprawunki, pożegnał się, zalecając młodej kupcowej, ażeby była dobrej myśli.

Jadwiga stanęła przy drzwiach wejściowych, skołataną myślami czoło przyłożyła do szyby i patrzyła na te tłumy tłumy ludu wiejskiego i miejskiego, które zajęły rynek.

Gwarno tu było, rozprawiano, tłoczono się, dokonywano najróżniejszych przetargów; jeszcze tak niedawno ci wszyscy ludzie walili potem, jak w dym, do jej handlu, a teraz tylko kiedy niekiedy ktoś zaglądał i czynił zakupy.

Owi dwaj agitatorzy, o których mówił Kleber, nie ustawali ani na chwilę, byli wszędzie, nie przepuszczali nikomu i ciągle wskazywali rękami na jej chudobę.

I ona na to nic zupełnie nie mogła poradzić.. A tu tymczasem zamiast zysków, strat tylko można oczekiwać.

Jadwiga brnęła dalej i choć nieraz ciężko, bardzo ciężko jej bywało, to jednak nie traciła ducha.

W każdym razie jaki taki byt miała w tej mie-



Niemiecki kolonista w drodze do Wielkopolski.

ścinie, więc też z nadzieją w sercu, że przecież nadejdą czasy lepsze, brała się ciągle do pracy. Polacy nie opuścili, jak słusznie powiedział Kleber, ale szereg tych braci tak był przerzedzony, że tylko z trudem mogła Przegrodzka wiązać koniec z końcem.

Nie ustępowała jednak z placu, wyrodziła się w niej bowiem z biegiem czasu ta sama zaciętość, która cechuje poznańczyków w walce o każdą piędź ziemi i o każdy kęs chleba.

Niemcy nie bywali w sklepie Przegrodzkiej, zdziwiła się też pani Jadwiga wielce, gdy pewnego dnia najniespodziewaniej wszedł sam burmistrz i w sposób grzeczny, ale stanowczy zapytał, co wdowa zamierza czynić z dziećmi.

— Nie rozumiem tego pytania—odparła Jadwiga z uśmiechem.— Dzieci chowają się przy mnie, nikomu się nie narzucają.

— Ach! to wiem doskonale — zaśmiał się burmistrz — ten pani Jasz i ten Basza mogą nawet za wzór służyć grzeczności i układności, a nic w tem nie ma dziwnego, gdy się zważy, że należą do lepszej rodziny. Ale tu o co innego chodzi. Syn pani jest już w tym wieku, że powinien rozpocząć naukę.

Zwykle potulna Jadwiga, tym razem, gdy w grę wchodziły jej dzieci, jej pociechy jedyne w tem nędznem, Szarem życiu, w inną zupełnie przekształciła się kobietę; zmierzyła też tego człowieka od stóp do głowy i rzekła z pewną wyniosłością:

— Daruje pan, ale nie wiedziałam, że panu, chociaż jesteś ojcem miasta, przysługuje prawo mieszkania się do moich stosunków rodzinnych. Czy dziecko moje potrzebuje nauki, czy też jeszcze ma czas po temu, o tem chyba ja sama tylko mogę decydować.

— Niekoniecznie, szanowna pani—grzecznie i chłodno przerwał burmistrz.— U nas w Niemczech (ostatni wyraz wymówił z szczególną dumą i naciskiem), obowiązuje przymus szkolny, my bowiem analfabetów nie znosimy u siebie. Dziecko, które doszło do pewnego wieku, a pani syn przekroczył już szósty rok życia, musi się uczyć. Jeżeli ktoś ma fundusze odpowiednie, to może kształcić prywatnie, posyłać do gimnazyjów i t. p., ale kto tych środków nie posiada, ten obowiązany jest korzystać ze szkół, które utrzymuje państwo. Pani zostawiamy to do woli, ale w każdym razie musimy wiedzieć, co pani postanawia.

— W tej chwili nic zawyrokować nie mogę —

odparła Jadwiga. — Wymaga to porozumienia się z opiekunem, którym jest brat nieboszczyka męża mojego...

— Dobrze, będziemy czekali dwa tygodnie, to jest do czasu rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Decyzję zechce mi pani zakomunikować.

Uklonił się sztywno i wyszedł, a Jadwiga zasiadła do stołu, ażeby o rozmowie z burmistrzem powiadomić Juliana.

Pan na Przegrodowie oburzył się w pierwszej chwili, jak śmie taki sobie burmistrz z Krzywina postponować rodzinę obywatelską.

— Przecież to rzecz naturalna—mówił nerwowo, przechadzając się po salonie— że dzieci po Kaziu muszą się kształcić wyżej. Jeszcze czego!

Zuzanna na razie nie odrzekła nic, wle znać było, że tego nie bierze za zbyt wielki despekt. Dopiero po dobrej chwili, gdy Julian zdążył się już wysapać należycie, wtrąciła swoje słowo.

— A może jednak nie byłoby źle, gdyby Janek rozpoczął naukę w Krzywiniu?.. Do gimnazjum jeszcze zawczasnie, w szkółce miejskiej mógłby się przygotować, a potem pomyślisz, co robić dalej.

— Lepiej wziąć nauczyciela do domu — ofuknął Julian.

• — To będzie dużo kosztowało, a Jadwiga nie ma na to pieniędzy, nam zaś też idzie ciężko. Zresztą korona Jankowi przecież z głowy nie spadnie, że dwa albo trzy lata pochodzi do zwykłej szkółki.

Koszta, pieniądze— to argument silny. Nie mógł też on pozostać bez wpływu na Juliana. Wahał się jednak: perswadował sobie i żonie, że to jednak „nie wypada“, ale w końcu zgodził się na pogląd swojej połowicy, i wybrał się do Krzywina, ażeby Jadwidze wytłumaczyć, że jednak najpraktyczniej będzie, gdy Janek zapisany zostanie w poczet uczniów szkółki miejskiej.

IV.

Krzywin małą jest mięsciną, posiada jednak i ratusz porządny i gmach pocztowy okazały i obszerny, i budynek szkolny. Do tego to budynku wkroczyło w najbliższy poniedziałek małe chłopię, trzymając pod pachą tabliczkę i szyferek, a rozglądając się ciekawemi, dużemi, modremi oczyma po otoczeniu.

Lęk ogarnął Janka, gdy matka, odprowadziwszy go aż do progu bramy szkolnej, pocałowała serdecznie w policzek i wyrzekła ze łzami:

— No, Janku, teraz tylko ucz się pilnie, słuchaj, uważaj, co nauczyciele będą mówili, bądź grzeczny, posłuszny, a z pewnością nikt ci tutaj nie zrobi krzywdy!

Potem zrobiła Jadwiga znak krzyża świętego nad głową syna i dziecko znalazło się na korytarzu, gdzie gwałt zmieszanych głosów chłopięcych obijał się o zimne ściany.

— Patrz! to ten Przegrodzki — zawołał na widok wchodzącego Marcinek Zawala, jak iskra żywy, puciołowaty, syn roznosiela pieczywa.

— Przegrodzki, syn tej, co to ma handel w Ryńku?... — ze zdziwieniem zapytał Wladek Majsterski, którego ojciec należał jeszcze do jedynych „urzędników“ pochodzenia polskiego w Krzywiniu, spełniając najskromniejsze obowiązki woźnego na poczcie.—Przecież to „ślachcic!“ Tacy Przegrodzcy powinni go do gimnazjum oddać, nie posyłać tutaj z nami, biedakami.

— Co tam „ślachcic!“—tonem wyższości zawyrokował Zawala. — Dziś to i oni „przez“ butów chodzą, a ojciec mówił, że tej Przegrodzkiej bardzo źle handel idzie, bo ją wszystkie Niemcy odstąpiły.

— Psia wiara—te Niemcy! — szepnął Majsterski, oglądając się uważnie, czy w pobliżu niema jakiego ducha opiekuńczego, któryby mógł srogo się zemścić za taki wylew uczuć.

— Musimy go wziąć pomiędzy siebie— rzekł Zawała, któremu dobroć patrzyła z jasnych, niebieskich oczu.— Nam tu jest nie wesoło, a jemu będzie gorzej jeszcze. Te „juchy“ dopiero będą sobie używały, gdy im taki paperek wpadnie pod łapy. Szlachcicowi nie wybaczą tego, że jest biedny, oni mu to „von“ wybić będą na skórze!

Janek nie słyszał tej rozmowy, skromnie bowiem, jak dobrze, starannie wychowany chłopczyk, stanął bezradnie pod ścianą, nie wiedząc, co począć ze swoją małą ósówką w tej ciżbie wesółych, rozbawionych, znających się w szkole, jak u siebie w domu, chłopców.

Zawała i Majsterski, rozmawiając z sobą, tak często jednak wzrok zapuszczali w jego stronę, że dziecko mimowoli poczuło, iż ci dwaj przyszli towarzysze niedoli szkolnej, szczególniejszą na niego zwrócili uwagę.

Do rozpoczęcia lekcji brakowało jeszcze całe dziesięć minut, część przeto uczniów wybiegła na podwórze, deszcz jednak zawrócił ich z powrotem: część udawała się do klasy, ażeby zająć zwykłe miejsce na ławkach, część wreszcie zabawiała się, jak umiała, na korytarzu.

Janek, zastraszony, stał ciągle na jednym miejscu, a przeląkł się więcej jeszcze, gdy nagle Zawała z Majsterskim ruszyli wprost ku niemu.

— Nie bój się niczego!—przemówił Marcinek z taką powagą, jak gdyby on tutaj w tym gmachu był właściwym rządcą i panem.

— Jesteś nowicyszem, a my wiemy, żeś ty syn tej wdowy, co to ma handel w Rynku.

— Mamusia mnie odprowadziła — bąknął Janek, sam nie wiedząc, co mówić.

— Co tam „mamusia!“—zaśmiał się Zawała.—Tu jest szkoła, a do domu pójdziesz dopiero za parę godzin. My tu jesteśmy stare wyjadacze, ja już trzeci rok chodzę do tej budy, a Włodek (tu wskazał na Majsterskiego), drugi rok „dukwi“ nad książkami. Kiedyśmy po raz pierwszy przyszli, to tacy sami byliśmy głupi, jak ty teraz jesteś.

Delikatnego Janka ubodło trochę takie obcesowe obejście towarzyszków, takie zlekceważenie roli „mamusia“ i owo powiedzenie „głupi“, tyle jednak było szczerości w słowach i radach Zawały i Majsterskiego, że mimowoli uczuł do nich budzącą się sympatyę w sercu.

— Trzymaj się nas, a źle ci nie będzie! — zapewnił wreszcie Władek — my tu znamy różne sztuki i wiemy, jak i w czym wziąć którego z tych starych „fuksów“ *).

Janek nic z tego nie rozumiał, ale uśmiechnął się, przestępując z nogi na nogę i podtrzymując tabliczkę, ażeby nie upadła i nie rozbiła się w kawałki.

— My tu Polacy—objaśnił dalej Zawała — musimy się trzymać kupy, bo inaczej by nas zagryźli, a tyś chyba Polak?

— Naturalnie, że Polak— odparł Janek z uśmiechem.

— To dobrze. Więc pamiętaj sobie: Polak z Polakiem zawsze idą z sobą razem, wszyscy za jednego, jeden za wszystkich.

Rozległ się dzwonek, nawołujący do klas dzia-
twę, jeden chłopiec przez drugiego pędził do swej ławy.

— Chodź ze mną! — zawołał Marcinek, i ują-

*) „Fuksem“ nazywają uczniowie poznańscy wszystkich w czambuł nauczycieli Niemców.

wszy Janka za rączkę, jak opiekun prowadził go do klasy.

Inni chłopcy, widząc, że Zawala, który niepośledniego miru zażywa wśród kolegów, wziął w opiekę nowego towarzysza, z wielką uwagą przyglądali się przybyszowi.

Nie było jednak czasu na robienie spostrzeżeń, za chwilę bowiem wszedł do obszernej izby, w której ławy stały w dwóch rzędach, człowiek nieokreślonego wieku, w długim, kołan niemal sięgającym surducie, w kamizelce pluszowej kanarkowego koloru, z rzutami niebieskimi, spodniach tabaczkowych.

Twarz wygolona, jakaś pomięta, piegowata, czoło wysokie i rzadkie, żółto-ryże włosy, oczy małe, świdrowate.

Mąż ten z ogromną powagą skinął dziatwie, która przy otwarciu drzwi zerwała się na równe nogi z ław, ażeby okazać swoją czolobitność, a powiedziawszy „Guten Morgen“, zbliżył się do stolika, mającego imitować katedrę.

Tutaj rozłożył najpierw chustkę kolorową, położył tabakierkę rogową przed sobą, zobaczył, czy jest atrament w kałamarzu, poprawił na paznociu pióro

i sięgnął po czarną, podłużną księgę, tworzącą kontrolę obecności uczniów.

Zaczął się odczytywanie najokropniej nieczysto przekręcanych nazwisk polskich, a po każdym wywołaniu dany osobnik wstawał z ławy i twardem „Hier“ objaśniał pana nauczyciela o swojej obecności.

Ale surowa twarz miała się wypogodzić, gdy prymus klasy po dokonaniu zwykłego obliczenia zaraportował, że oddział najniższy powiększył się o nowego ucznia, Jana Przegrodzkiego.

— „Also doch!“ *) — mruknął nauczyciel— Przegrodzki zdecydował się swojego bratanka oddać do szkółki miejskiej. Wielkie fomy, fanaberye szlacheckie poszły w ką, gdy rzecz się oparła o pieniądze. Znam ja was dobrze!

Pan nauczyciel, jak gdyby go mały Przegrodzki nic nie obchodził, rozpoczął zwykłą lekcję, tłómaczył coś głosem stentorowym, pisał na tablicy, wyrывał po kolei różnych chłopców, a Janek wciąż patrzył ze zdumieniem na to, co się dzieje, i siedział jak trusia, nie

*) „Więc jednak“.

śmiać nawet w bok się obejrzeć, a tem mniej zapytać sąsiadów o przedmiot wykładu.

• Trwało to długo, słuchanie rzeczy zupełnie niezrozumiałych męczyło chłopca, czuł szum w uszach, uderzenie krwi do skroni, ale wytrwał aż do chwili, gdy w kurytarzu rozległ się dzwon i naraz w klasie powstał szmer, tupot nóg, potem nauczyciel wyszedł i gwarно zrobiło się w izbie szkolnej.

— Czy wiesz, co do ciebie mówił pan nauczyciel?—zagadnął Wladek Majsterski.

— Nic nie rozumiałem — odparł grzecznie mały Janek.

— Masz iść o dwunastej po książki do nauki; ja cię zaprowadzę.

— Czy oni tu wcale do nas nie będą mówili po polsku? — ośmielił się zapytać mały Przegrodzki.

— Jeszcze czego mu się zachciewa!—zaśmiał się równocześnie Wladek i Marcinek.

— Przecież ja nic nie rozumiem—tłómaczyło się dziecko.

— Nie bój się, nauczysz się prędko, jak my się musieliśmy nauczyć! Z nas prawie każdy tak samo nie umiał, gdy wchodził po raz pierwszy do tej budy.



Janek i Wladek (z obrazu F. Wygrzywalskiego).

Krótką, zaledwie pięciominutowa przerwa minęła szybko, rozległ się znowu dzwon i do pokoju wkroczyła inna postać, zupełnie różniąca się od poprzedniego mistrza szkolnego.

Był to mężczyzna niski, tusty, z wąsem sumiastym, ale głową łysą, jak kolano, w okularach złotych, które mu spadały na sam czubek nosa i z pogodnym, zawdowolonym z siebie wyrazem oblicza.

— To pan Wędlicki — objaśnił Janka Zawala.

— Polak? — zapytał Przegrodzki.

— Niby to Polak, bo do naszego kościoła chodzi, ale kto go tam wie, czem on jest właściwie. Czasem taki Polak gorszy jeszcze bywa od Niemca — zakończył Marcinek sentencją.

— „Ruhe!“ *) — zawołał Wędlicki i przystąpił do wpajania w młode umysły dzieci polskich pierwszych zasad czterech działań.

Tu już Janek zaczął trochę się orjentować, bądź co bądź bowiem widział kreślone na tablicy cyfry i wrodzonymi zdolnościami nadrabiał w umyśle to, czego nie

*) Cicho!

mógł dojść, słuchając objaśnień, w niezrozumiałym dla siebie dawanym języku.

W ten sposób minęły dwie pierwsze godziny, przebyte przez Janka w szkole krzywińskiej, kiedy zaś o godzinie dziesiątej dzwonek zwiastował rozpoczęcie tak zwanej „wielkiej pauzy“, trwającej kwadrans, Przegrodzki, wraz z nieodstępnym Władkiem i Marcinkiem, wyszedł za innymi dziećmi na podwórze.

Ten i ów wyciągnął z kieszeni bułkę, lub kawał chleba, zjadał smacznie, popijał wodą, a posiliwszy się odpowiednio, zabierał się do zabawy, polegającej na gonieniu się, grze w piłkę i t. p.

— Zagramy w „Szwaba“—zawołał Majsterski i sięgnął po piłkę.— Graj z nami!

— Nie umiem—bąknął Janek nieśmiało.

— No! to stań sobie tutaj i przyglądaj się, a nauczysz się łatwo; widzę, że ci nie dano z domu śniadania. Mam dwie bułki, weź jedną, dla mnie wystarczy.

Janek się zarumienił, opierał, ale Władek wcisnął mu bułkę przemocą.

Chłopcy stanęli w rzędzie, jeden z nich wszedł w środek i rozpoczęło się bombardowanie piłką „Szwaba“,

który się wymykał, podskakiwał, cofał, nachylał zreżcznie, ażeby ujść ciosu.

Janekowi aż oczy się śmiały do tej zabawy, nie brał jednak w niej udziału, pozostawiając to starszym i wytrawnym już bywalcom szkolnym.

Zdrowe rumieńce występowały wszystkim rozba-wionym dzieciom na lica, wesołość biła z ocz, tryskało zdrowie w postaciach i mięśniach malców.

Nie minut, ale godzin całych potrzebaby też było, ażeby to życie, młode i bujne, znalazło zaspokojenie i upust.

Jakiś rodzaj przygnębienia opanował też wszystkich, gdy nowy znak, dany dzwonkiem, obwieścił zakończenie rekreacji. Powoli i ociężale wstępowały też dzieci z powrotem do gmachu szkolnego i zajmowały miejsca w ławkach.

Następna godzina wlokła się w nieskończoność, tem więcej, że trzeci z nauczycieli, wysoki i chudy, o długich nowach bocianich, pan Knolke, prowadził wykład języka niemieckiego w sposób przerażająco nudny. Odetchnęła też cała klasa, gdy nareszcie skończyły się tortury w postaci zasad deklinacji.

— Teraz nareszcie posłyszemy coś po polsku! — rzekł Marcinek do Przegrodzkiego i odetchnął przytem z całej piersi. — Dwa razy na tydzień mamy tę rozkosz.

— A mówileś, że tu wszystko po niemiecku? — zastanowił się Janek.

— No! przecież naszej religii nie mogą nas uczyć po niemiecku! — tonem wyższości objaśnił Władek.

— Im i tego jeszcze się zachciewa — wtrącił znów Marcinek — ale niedoczekanie ich, chyba Boga nie było na niebie!

— Nie bluźnij! — zawołał Władek. I może z tej utarczki słownej byłaby się wywiązała dłuższa dyskusya, gdyby w tej chwili nie otworzyły się drzwi i do pokoju nie wszedł znów pan Wędlicki.

Tym razem istotnie od razu przemawiać zaczął po polsku; na Janka zaś te pierwsze słowa, posłyszane z ust nauczyciela w języku ojczystym, oddziaływały w sposób magiczny.

Chłopiec, dotąd siedzący na ławie, jak mumia, ożywił się, oczy bystre, duże, modre, nabrały ognia i blasku, nie uronił też niczego i z napiętą uwagą biegł

za tem, co wykladał Wędlicki o stworzeniu świata, o raju i naszych pradziadach, o Adamie i Ewie.

Takie zachowanie się dziecka nie uszło oka pedagoga, doszedłszy też do pewnego punktu, Wędlicki przerwał i rozglądając się po klasie uważnie, zawezwał Przegrodzkiego do powtórzenia tego, co posłyszał przed chwilą.

Zaskoczony w ten sposób Janek, w pierwszej chwili zaczerwienił się jak burak i przestępując z nogi na nogę, i skubiąc na sobie ubranko, sam nie wiedział, od czego zacząć i co mu powiedzieć.

— Śmiało, śmiało, nie bój się niczego! — równocześnie z dwu stron zachęcali Marcinek z Władkiem. — Mów za mną: — „Na początku stworzył Pan Bóg świat...”

Lody były złamane. Janek zrazu lękliwie, potem coraz śmielej i głośniej recytował lekcję, a widocznie tak się przejął wykładem i tak dobrze wszystko zapamiętał, że Wędlicki nietylko go nie poprawił, ale nawet ani nie przerwał mu opowiadania, a gdy chłopiec wreszcie skończył, uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł:

— Dobrze, mój chłopcze! Widzę że, na zdolnościach ci nie zbywa, bądź też zawsze uważny, pilny,

posłuszny i prowadź się dobrze, a nagroda cię nie minie.

Ta pochwała postawiła Janka wysoko w oczach całej klasy, nie jeden mu zazdrościł, a Władek i Marcinek dumni byli z tego, że oni pierwsi poznali się na nowicyuszu i rozciągnęli nad nim opiekę.

Po ukończeniu lekcji religii, Zawala, stosownie do polecenia „ordynaryusza“*), poprowadził Janka do kancelarii rektora, gdzie już wiele innych dzieci oczekiwało na wydanie im książek, podręczników szkolnych.

Przed panemrektorem czuły dzieci respekt ogromny, osoba ta bowiem była pod każdym względem typowa. Nikt i nigdy nie widział uśmiechu na obliczu pana Hechta, ubrany zaś po staroświecku, zawsze czarno, od pięty aż do czuba, wygolony starannie, trzymający się sztywno, jak gdyby kij połknął, władca szkoły krywińskiej starał się zawsze utrzymać powagę.

Wyrokował bez apelacji, że zaś posiadał silne

*) Ordynaryuszem nazywany bywa w szkołach pruskich nauczyciel, będący gospodarzem klasowym. (Przyp. aut.).

plecy wśród członków „towarzystwa obrony niemieckiej na kresach“, więc też imponował nietylko uczniom, ale także nauczycielom-kolegom, a nawet burmistrzowi i innym dygnitarzom małomiasteczkowym.

Dzieci oczekiwały w kancelaryi na przybycie rektora, ustawione w dwa rzędy, a sprawowały się tak cicho, że możnaby prawie słyszeć brzęk przelatującej muchy.

Czekano sporą chwilę, pan Hecht bowiem nie lubił się poniżać do tego stopnia, ażeby się pojawiał na każde zawołanie. Wszystko odbywać się musiało z odpowiednią pompą i powagą.

Nareszcie szeroko otwały się drzwi i wszedł oczekiwany augur w towarzystwie pana Knotka, zanim jednak przystąpił do czynności rozdawania książek, stanął za stołem, chrząknął i wygłosił dłuższą przemowę.

Co mówił, tego Janek oczywiście nie zrozumiał ani słówka; jak groch rzucony o ścianę, odbiły się od niego górnolotne frazesy o tem, jak wielkie dobrodziejstwo robi rząd, gdy każdemu człowiekowi nietylko daje możność kształcenia się zadarmo w szkołach, ale

jeszcze ułatwia to kształcenie, ofiarowując uboższym książki do nauki.

Pan rektor przed tem audytoryum, złożonem z malców od siódmego roku życia, rozwinął wielki zasób elokwencyi. Przypomniiał, że na tej ziemi, która się dzisiaj „prowincją poznańską“ nazywa, panowała dawniej ciemnota, że tu mieszkali ludzie dzicy, prawie barbarzyńscy.

Jeżeli teraz inne panują stosunki, to wszystko stało się za sprawą rządu pruskiego, który kraj, będący właściwie pustynią z nielicznemi oazami niemieckimi, zamienił, niby za dotknięciem różdżki czarodziej, w Eden, w ziemię mlekiem i miodem płynącą.

Biorąc z tego asumpt, rektor wykazywał stentorowym głosem, jak bardzo wdzięczne być powinny polskie dzieci za te wszystkie dobrodziejstwa, zlewane na nie tak obficie z ręki troskliwego, opiekuńczego rządu i jak wryć sobie powinny w serca hasło: „Za cesarza i ojczyznę niemiecką!“

Wielce zadowolony z siebie, zasiadł następnie pan Hecht na fotelu i przyglądał się uważnie każdemu i każdej, biorącym książki z rąk Knotkego, który zapisywał tytuły i nazwiska dzieci.

Przyszła kolej na Janka, tu jednak wysunął się naprzód Zawala i przemówił w imieniu nowego kolegi.

— Cóż to ma znaczyć?—groźnie ofuknął rektor.— Przegrodzki sam nie może mówić?

— Kiedy on nie umie po niemiecku—bąknął Marcin, a Janek zauważył, że ten chłopiec, który taki rezolutny był w klasie, teraz, wobec powagi Hechta, stracił zwykły swój rezon.

— Maul halten! *) —jeszcze groźniej krzyknął rektor, Knotke zaś chcąc się przypodobać zwierzchnikowi swojemu, pośpiesznie przyskoczył do Zawaly, bez ceremonii chwycił go za kołnierz, otworzył drzwi i wyrzucił na korytarz.

Janek wielkimi, przerażonemi oczyma patrzył na tę scenę, nie mógł też zrozumieć, w czym zawinił ten dobry kolega, który tak grzecznie przemówił za nim.

Rektor i Knotke, jak gdyby nic się nie stało, powrócili do dalszych zajęć, mówili coś do Janka, pytali się, ale on stał tylko czerwony i nie mógł nic odpo-

*) „Stulić głowę“

wiedzieć. Wprowadziło to widocznie w gniew obu pedagogów, bo po chwili rzucono mu książki na stół i ręką wskazano drzwi, ażeby się wyniósł jak najprędzej. •

Wolno, trzymając niezgrabnie w rękę otrzymane świeżo książki, schodził Janek na dół. Przed bramą ujrzał Marcinka i rozweselił się odrazu, gdy dostrzegł, że mały Zawala nie wziął do serca tej operacji z wyrzuceniem za drzwi.

— To głupstwo! — rzekł bywalec szkolny — nie podobało im się, że przyszedłem z tobą, więc mnie wyrzucili.

Marcinek nauczył Janka, jak powinien nosić książki pod pachą, a raz wzięwszy na siebie rolę opiekuna, spełniał ją tak sumiennie, że Przegrodzkiego odprowadził do samych drzwi sklepu Jadwigi i tu oddał go w ręce matki, tłumacząc powody opóźnienia.

Wrażenia pierwszego dnia, przebytego w szkole, sprawiły, że Janek nie tknął prawie obiadu i tylko w sposób urywany a bezładny, opowiadał matce i Basi o rektorze i panu Knotke, o Wędlickim i o stworzeniu świata, o grze w „Szwaab“ i o Adamie i raju, o Marcinku i o Władku.

— Więc dobrze ci w szkole? — z czułością zapytała Jadwiga, tuląc swojego pierworodnego syna do serca.

— Sam nie wiem, mamusiu! Tak się czegoś boję... Oni do mnie mówią, a ja nie nie rozumiem.

Zamyślił się, a potem nagle podniósł swe wielkie oczy na matkę i zapytał poważnie:

— Mamo, czy ja się kiedy nauczę po niemiecku i czy będę mówił, jak Marcinek i Władek?

Jadwiga pogładziła dziecko po głowie i odparła bardzo łagodnie:

— Nauczysz się, nauczysz, Janku! Młody jesteś i do takiej małej główki przylega wszystko łatwiej. Mnie trudno było, a jednak widzisz, że przez ten krótki czas pobytu naszego w Krzywiniu, nauczyłam się już nie jednego słówka.

I znów Janek popadł w zadumę, co widząc, matka obserwowała go z boku i czule spoglądała na chłopczykę. A Janek, jak gdyby błędził gdzieś po obłokach. Umysł jego pracował nad czemś, wysilał się, aż wreszcie mały uczeń szkółki miejskiej więcej do siebie, niż do otoczenia, rzucił uwagę:

— Przynajmniej dobrze jeszcze, że o Bogu uczą

nas po polsku. Dlaczego jednak o wszystkim innym wykładają w języku niemieckim? Przecież my wszyscy prawie jesteśmy Polacy?

To „dlaczego“ nurtowało chłopca i chociaż Jądwiga uspakajała, tłumacząc dziecku smutną dolę narodu, rzuconego na pastwę pomiędzy obce siły, chociaż możliwie jasno starała się Jankowi wyjaśnić wszystkie fakty, które poprzedziły wypowiedzenie wojny na śmierć i życie Polakom, młody jego umysł nie mógł pojąć wyrządanej krzywdy. „Dlaczego — dlaczego?“ wracało mu ustawicznie na usta.

*

*

*

Odtąd dla małego Janka Przegrodzkiego rozpoczęło się zwykle twarde życie ucznia rządowej szkoły pruskiej.

Ze świtem niemal zrywał się z łóżka, a że nadeszły dni krótkie słotnej w tym roku jesieni, więc przy świetle lampy przygotowywał się do lekcji i w mieszkaniu wdowy rozlegały się w miarowem tempie przepowiadane deklinacje i wkuwane w młodą głowę wiersze o Fryderyku Barbarossie, o Eberhardzie Wirtemberskim, lub też recytowane opowiadania o życiu i czynach słynnych wojowników brandenburskich.

Z początku uczył się Janek jak papuga, że jednak dziecko z natury było zdolne, więc też chociaż rozumiał ledwie piąte przez dziesiąte, zawsze przychodził do szkoły odpowiednio przygotowany z książkami i kasetami, utrzymanemi, we wzorowym porządku.

Greczny, starannie wychowany, zawsze dla wszystkich uprzejmy, nie dawał powodu do skarg i nawet sam pan Knotke nie miał mu nic do przyganienia.

Z kolegami zżył się, a chociaż najczęściej obcował z Marcinkiem i Władkiem, to jednak koło dobrych przyjaciół rozciągnął także niemal na całą klasę.

V.

Upływały tygodnie i miesiące, nie przynosząc z sobą zmian żadnych. Janek, zupełnie już oswojony ze szkołą, pozbył się początkowego lęku, bywały też u niego nawet chwile wesołości i rozbawienia, co matkę cieszyło wielce.

Basia trzymała się stale matki, bawiła się w sklepie, stali też bywalcy otaczali szczerą sympatyą dziecko, zwracając się nieraz z przekomarzaniem i żartami do małej „kupcowej“.

Znajomość od pierwszego wstępu do szkoły z Władkiem Majsterskim i Marcinkiem Zawalą, przeszła w taką przyjaźń serdeczną, że stanowili ci chłopcy trójkę nierozzerwalną.

Dzieci jednak skromnych i niezamożnych rodziców uczuwały respekt dla pani Przegrodzkiej, choć

przecież ani majątkiem, ani stanowiskiem nie mogła imponować otoczeniu krzywińskiemu.

• Naprózno nieraz zachęcała przyjaciół Janka do używania większej swobody w jej domu; chłopcy zawsze bywali skrępowani i dopiero wtedy odzyskiwali zwykły swój rezon, gdy znaleźli się na podwórzu, lub po za miastem, dokąd dość częste odbywano wycieczki.

Tem więcej zdziwiło też Jadwigę, gdy pewnego świątecznego dnia po południu Marcinek z Władkiem od razu po wejściu do pokoju, podeszli do niej, pocałowali kolejno w rękę i zarumienieni po uszy, trzymali kapelusze w ręce i obracając nimi w kółko, stanęli, jak gdyby mieli zamiar wystąpić z jakąś prośbą, albo propozycją.

Trafili w porę podwieczorkową, więc też Przegrodzka, chcąc ośmielić chłopców, zaprosiła ich na szklankę kawy i podsunęła rogalę.

Władek, a za nim Marcinek, skłonili się niezgrabnie na znak podziękowania, ale nie zmienili swojej pozycji stojącej i w dalszym ciągu obracali kapelusza mi, przestępując z nogi na nogę.

— Widzę, że macie jakiś interes do mnie! — zaśmiała się Jadwiga. — Mówcie, dzieci, przecież jeżeli to coś takiego, co będę mogła uczynić, to możecie być pewni, że za życzliwość waszą dla mojego Janka, chętnie spełnię prośbę.

— Śmiało, śmiało! — dokończyła i pogłaskała najbliższego stojącego chłopca, po bujnej, lekko-kędzierzawej, prostej czuprynie.

Władek i Marcinek raz jeszcze spojrzeli po sobie, wreszcie drugi z nich zdobył się na pewną odwagę:

— Bo to... proszę pani, my, my...

— I cóż wy, wy? — wesoło zapytała Jadwiga.

— My chcielibyśmy się uczyć...

— To bardzo pięknie z waszej strony. Macie szkołę, do której chodzicie, więc też zapewne przykładacie się pilnie do książki...

— Kiedy bo... to nie o taką naukę chodzi, proszę pani.

— Więc o jaką? — zadziwiła się Przegrodzka.

— My chcielibyśmy się uczyć o Polsce. Podobno są takie książki, w których opisane jest wszystko, jak to dawniej bywało.

— Tego nam nie powiedzą w szkole — dodał Włodek — a jednak my Polacy, więc znać powinniśmy prawdę.

— Ojcowie nasi, — przerwał już nieco śmielej mały Zawała—pochwalili nas za to, ale oni na to czasu nie mają, harując od rana do późnej nocy, ani też nie znają wszystkiego tak, jakby było potrzeba.

Marcinek umilkł, ale ośmielony jego przykładem dobrym, Włodek zaczął teraz prowadzić dalej.

Pierwsze lody pękły, a że Jadwiga słuchała uważnie i życzliwie, więc też mały Majsterski mówił już bez krępowania się:

— Takich jak my, jest więcej w szkole, może nawet prawie wszyscy Polacy przyłączyliby się do nas, gdybyśmy im powiedzieli, co chcemy zrobić. To byłoby jednak niebezpieczne. Wybraliśmy tedy tylko sześciu jeszcze tęgich chłopaków i chcemy założyć takie kółko, w którym uczylibyśmy się historii polskiej, porządnego czytania i pisania, w którym czytywalibyśmy książki ciekawe i dopomagali sobie, na wypadek potrzeby... Ale...

Tu Włodek się zaciął, poczem znów podszedł do ręki Jadwigi, ucałował ją i dokończył:

— Ale nie mamy nikogo takiego, ktoby nas mógł uczyć. I dlatego przyszliśmy z prośbą do pani.

Jadwiga nie czekała już dalszych wywodów chłopca, lecz zawołała żywo:

— I dobrze też zrobiliście, przychodząc do mnie. Wprawdzie zajęcia mam dużo, ale przecież raz, lub dwa na tydzień, chętnie poświęcę godzinę na waszą naukę.

Janek zerwał się z krzesła i nie dopiwszy kawy, rzucił się w objęcia Jadwigi:

— Dziękuję, mamusi! Jak to dobrze!—mówił wesoło.—Przecież i ja skorzystam z tego.

— Niema za co dziękować — bronila się Przegrodzka—taka bagatela!..

Wszyscy chłopcy pokraśniali na licach, ale Marcinek spowaźniał nagle.

Przypomniał sobie w tej chwili surową postać rektora, pana Knotkego, Wędlickiego, przypomniał sobie trzcinę, areszt i pokoik, w którym pedel na rozkaz nauczycieli obnażał dzieci szkolne i darzył je okrutnemi razami aż do krwi.

— Pani jest bardzo dobra — rzekł chłopiec po namyśle—ale za tę dobroć my nie możemy pani wysta-

wić na niebezpieczeństwo i nieprzyjemności. Gdyby się dowiedziano, że tu aż ośmiu chłopaków przychodzi na naukę polską, to Matko Boska, jeszcze do więzienia gotowiby byli wrzucić panią! To trzeba wszystko zrobić bardzo mądrze.

Mały konspirator zaczął nabierać ognia, gdy mówił dalej:

— My, proszę pani, tutaj przed tym krucyfiksem złożymy przysięgę, że żaden z nas, choćby go na tortury brano, ani pary z ust nie wypuści o tych zebraniach.

To jedno. A po drugie dla zmylenia czujności, po odbyciu nauki, będziemy sobie urządzali na podwórzu zabawy.

Chłopcom tak się spieszyło do rozpoczęcia tych lekcji tajemnych, że gotowi byli jeszcze tego samego dnia zwołać pozostałych sześciu zuchów, powstrzymała ich jednak Jadwiga, przestrzegając przed zbyt szybkim działaniem.

— Co nagle, to źle!... — mówiła z uśmiechem — Czasu macie dosyć! Przygotujcie się też dobrze, omówcie wszystko z kolegami, a na przyszłą niedzielę czekam was u siebie. Dziś przejrzyjcie sobie

tę książkę, którą dostaliście od księdza wikarego, a potem, korzystając z pięknego powietrza, pobieg-
nijcie trochę za miasto. Jankowi przyda się taki spacer.

W pokoiku Jadwigi Przegrodzkiej odegrała się tym sposobem niezmiernie ważna chwila dla życia całego małego miasteczka, wdowa zaś nie zdawała sobie wcale sprawy z tego, że wiedzioma dobrocią serca i potrzebą spełnienia obowiązku, mimowoli wciągnięta w nieszczęsne koło tych ludzi, których władze pruskie chrzczą mianem „burzycieli porządku i agitatorów wielkopolskich“, działających na zgubę państwa niemieckiego i marzących o oderwaniu od rzeszy ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Jej wydawało się to wszystko takie proste, jasne, takie naturalne, że w gruncie rzeczy czyniły ją te obawy chłopców i ten konspiratorski sposób formowania niewinnych lekcji języka ojczystego i historii kraju rodzinnego.

Stosownie do opracowanego planu, w najbliższą niedzielę pojedynczo schodzić się zaczęli do domu Jadwigi malcy i prawidłowe zupełnie lekcye weszły w bieg.

Uczono się przez godzinę, czasami dłużej, a po tej nauce sastępowały zabawy, węzeł zaś przyjaźni, tej przyjaźni, która rozpoczęta na szkolnej ławie, nie da się nigdy i niczem wyrugować z pamięci, zacieśniał się coraz więcej, coraz silniej.

Przy dniach pogodnych urządzali nieletni członkowie „kółka“ wycieczki po za miasto, ulubionem zaś miejscem pobytu stała się mała polanka, u skrajaju lasu, nad jeziorem.

W ten sposób upłynęło kilka tygodni, chłopcy pod kierunkiem Jadwigi przeszli już wszystkich królów z rodu Piastów, ze skromnych zaś składek groszowych zakupiono kilka książek, przechowywanych w szafce Jana Przegrodzkiego, lecz tworzących wspólną własność wszystkich członków zebrań.

Wszystko odbywało się tak zręcznie i sprawnie, że częste schadzki chłopców nie zwracały żadnej uwagi na siebie.

Że zaś grono „kółkowców“ dało sobie jak najsołenniejsze przyrzeczenie, iż nietylko w niczem nie będą zaniedbywali nauki szkolnej, ale nawet tem gorliwiej brać się będą do niej, więc też czujne oko i ucho pana rektora, Knotkego, Wędlickiego i grono nauczy-

cielskie nie mogło wykryć w postępowaniu chłopców nic zdrożnego.

Nieszczęście przyjsć miało z innej strony.

Pewnego poniedziałku, wszyscy uczniowie i uczennice szkółki krzywińskiej, stawili się, jak zwykle, punktualnie w gmachu i jak zwykle, przystąpili do odmówienia przed rozpoczęciem lekcji pacierza.

Do klasy wszedł pan Wędlicki, cała gromada zerwała się z ławek swoich i znając słowa modlitwy na pamięć, chciała już rozpocząć jej odmawianie, gdy nauczyciel dał znak ręką, ażeby się uciszono, a po chwili zamiast: „W imię Ojca i Syna“ i t. d., rzekł głosem, który widocznie drżał mu w piersiach:

— „Im Namen des Vaters und des Sohnes und des heiligen Geistes. Amen“.

Dzieci spojrzwały zdziwionemi oczyma na nauczyciela i z początku bezwiednie, choć bardzo wolno, zaczęły powtarzać za Wędlickim słowa modlitwy niemieckiej.

W miarę jednak dalszych słów, głosy poczęły milknąć i przy końcu zaledwie kilku uczniów domawiało pacierz.

Wędliski udał, że nie zauważył tego, i przystąpił do zwykłej lekcji, która przecież szła jakoś inaczej, niż codziennie.

Pomiędzy nauczycielem a dziećmi, stanęło coś przysłaniającego, co sprawiało, że on był skrepowany i dzieci usposobione niechętnie, ponuro.

Wielką też ulgą stał się odgłos dzwonka, zwiastujący zakończenie lekcji i krótkotrwałą przerwę.

Nawet jednak, gdy nauczyciel wyszedł już z klasy, nie powróciła dawna swoboda. Szeptano, rozmawiano o tej modlitwie niemieckiej, ale nie wiadano, skąd tak nagle zaszła owa zmiana.

Czasami tylko przez usta któregoś chłopca przesunęło się przekleństwo silniejsze, ten i ów zacisnął pięści w złości, lecz Marcinek wydał hasło, ażeby zachowywano się spokojnie i cała klasa zastosowała się do tego.

Druga godzina nauki nie przyniosła już żadnych niespodzianek, więc też z wolna pierwsze wrażenie zaczęło się zacierać i wszystko wracało do zwykłego trybu.

Ale mali „kółkowcy“, więcej od nich już uświadomieni pod względem narodowym, nie zaspali spr-

wy; kiedy więc nadeszła tak zwana „wielka pauza“, Władek i Marcinek zwołali wszystkich członków zebrania nad jeziorem i skupili ich pod pozorem gry w piłkę.

Zawała obejrzał się na wszystkie strony, a widząc, że żaden z „fuksów“ w tej chwili nie trzyma straży na podwórzu, szepnął:

— Po lekcjach, pójdzie jeden z was ze mną do księdza wikarego, ażeby się zapytać, co mamy robić dalej. Tymczasem wszyscy powinni być cicho.

Chłopcy skinęli głową na znak zgody i zabrali się do gry, która jednak szła tym razem ociężale, bez zwykłej werwy i życia.

W chwili, gdy dzieci szkolne korzystały z kilkunasto-minutowej rekreacji, w pokoju konferencyjnym pedagogów, rozprawiano również o owej rannej modlitwie.

Po wyjściu nauczycieli, szepnął Marcinek do Janka.

— Teraz nastanie sąd dzieci... Aż strach pomyśleć!...

— Czy boisz się? — z pewną pogardą w głosie zapytał Przegrodzki.

— A ty?...— rzucił mały Zawala.

— Przecież gdybym się bał, to modliłbym się po niemiecku — uśmiechnął się Janek, a tyle było zaciętości w jego twarzy, że aż zaimponowało to Marcinkowi, Władkowi i wszystkim kolegom z ław sąsiednich.

— Co ma być, to niech będzie!— rzekł teraz Zawala z mocą — o, nie ustąpimy!

— Nie ustąpimy! — poszło szemranie po całej klasie.

— Teraz tam radzą o nas — szyderczo rzucił Janek—może wymyślają jakieś straszne katusze. Kto się boi, ten ma czas jeszcze. Może iść, ażeby przebłagać, przeprosić.

— Nikt z nas nie zrobi tego! — burknął Roch Kaniszek, największy drągal z całej klasy, chłopak barczysty, rumiany i dobrze odżywiany, potomek jednego z tak zwanych „Bambrów poznańskich“, którzy tu ściągnięci zostali na ziemię polską, ażeby dopomóc do zgermanizowania kresów i zawiedli oczekiwania rządu pruskiego, przeobrażając się już w drugim pokoleniu na szczerych Polaków.

— Pst, pst!—zawołano z różnych ław.—Tam w kancelaryi idzie coś teraz bardzo gorąco.

— Bić aż do krwi! — wołała część nauczycieli, — ale pogląd ten nie trafił do przekonania rektora, który najpierw chciał zasięgnąć opinii inspektora...

VI.

Minęło w tym stanie kilka tygodni, a w życiu małego miasteczka nie zaszły żadne zmiany. Szaro, monotonnie schodził dzień po dniu dla Jadwigi Przegrodzkiej, która przyzwyczała się już do mierności i przestała wierzyć w zmianę na lepsze, chociaż pewne oznaki zdawały się świadczyć, że bojkot, nałożony na jej sklep, ustanie po pewnym czasie.

Najniespodziewaniej bowiem w świecie miewała teraz w tym sklepie od czasu do czasu odwiedziny osób ze sfer niemieckich.

To sam burmistrz wstępował i kupował drobnostki, to niżsi urzędnicy pozostawiali po kilkadziesiąt fenigów w jej kasie, to żandarm zaopatrywał się w papierosy.

Raz nawet wszedł do sklepu pan Knotke i poważniejsze zostawił zamówienie na kajety.

Przy tej sposobności pochwalił Janka, dowiadywał się o jego sprawowanie, a nawet okazał się o tyle łaskawy, że raczył osobiście obejrzeć jego książki, stół, łóżko i t. p.

Zdawało się, że burza chwilowa, wywołana oporem dzieci, minęła szczęśliwie i rozproszyły się te chmury, zawisłe nad małym miasteczkiem wielkopolskiem.

— Może też nareszcie będzie nam lepiej!— westchnęła Jadwiga, na co odpowiedział jej uśmiech wiernej Wojciechowej.

— Dałby Bóg! — rzekła stara służąca — mnie się czegoś niepodobają te zaglądanja Niemców do naszej chudoby. To nie bez kozery.

— Ech!—zawołała Jadwiga prawie gniewnie—że wy też zawsze i wszędzie musicie coś podejrzewać. Nie można sobie przecież dobrowolnie uprzykrzać życia wyszukiwaniem ciągle nowych upiorów.

— Lepiej było nie wpuszczać tego Knota, czy jak się tam on nazywa, do pokoju. Po co on oglądał

książki Janka? Widzicie go, jaki się czuły zrobił nagle!—upierała się Wojciechowa.

— Przecież nie znalazł nic zakazanego—zaśmiała się Przegrodzka.

Stara pomruczała jeszcze trochę i wzięła się do swojej roboty, Jadwiga zaś nie zajmowała się już więcej tą sprawą.

Na drugi dzień była niedziela; zwyczajem przeto, przyjętym od chwili rozpoczęcia owych zebrań w celu wspólnej nauki, chłopcy, a wraz z nimi Janek, po południu, korzystając z pięknej pogody, wyfrunęli za miasto—nad jezioro.

Łódką, używaną przez rybaka, przeprowiła się gromadka „kółkowców na wyspę, gdzie wszyscy czuli się najbezpieczniej i obrawszy sobie wygodny punkt na polance, zabrano się z całą energią młodzieńczą do nauki.

Dzieci doszły już do wprawy pod tym względem, obrany zaś „prezesem“ Janek, tak umiejętnie i z taką powagą spełniał czynność swoją, że wyglądał na wytrawnego pedagoga, który umie zająć uczniów i utrzymać ich w karbach.

Zajęci nauką i odczytywaniem pism ludowych, które nie jeden z chłopców przynosił z sobą na wyspę, młodzi uczniowie szkółki krzywińskiej niepostrzeżli, zasłonięci ze wszystkich stron drzewami, że równocześnie z dwóch przeciwległych brzegów jeziora, mkną ku wyspie dwie większe łodzie, nie posłyszeli także żadnego szmeru, gdy łodzie te przybiły do lądu, i gdy wyszli z nich burmistrz, rektor, Knotke i Wędlicki w towarzystwie dwóch żandarmów i dwóch strażników miejskich.

— No! teraz ich przyłapiemy—rzekł starszy żandarm—od dłuższego czasu mam tę bandę na oku i wiem, że nie dla zabawy zbiera się ona tutaj! Dotąd jednak nie znam wszystkich nazwisk.

— A jeżeli okaże się, że to niewinny spacer i zabawa?... — odezwał się Wędlicki.— Wtedy ośmieszmy się tylko tą obławą w dzień świąteczny. Przecież chyba bomb nie fabrykują?..

— Już ja mam pewne dane, że nie są to zebrania takie niewinne, jakby się to mogło wydawać. Oni zabierają z sobą książki jakieś, papiery, rysunki!—za-

wolał burmistrz.—Wiadomo, że każdy Polak już w kołysce jest konspiratorem.

— Niema powodu zwlekać! — zauważył teraz poważny rektor. — Teraz rozbiegniemy się na wszystkie strony. Wyspa jest mała, obejść ją i przetrząsnąć będzie łatwo. Potem zbierzemy się wszyscy u brzegu. Kto pierwszy natrafi na ich gniazdo, ten wyda gwizd, my zaś wszyscy podążymy na wskazane miejsce.

Fotografa potrzebaby było na to, ażeby dokonał zdjęć migawkowych z tych ludzi poważnych, na których barkach zdawał się spoczywać cały ciężar losów miasteczka wielkopolskiego, gdy po cichu, zatrzymując oddech w sobie, przekradali się w różnych stronach wysepki, smagani gałązkami krzewów, parzeni w ręce pokrzywami, drąc sobie ubranie o osty.

Jeden i drugi zaklął po cichu, otyły Wędlicki sapał, jak miech kowalski; że jednak każdemu z tych wężycieli zdawało się, iż tropiąc dzieci polskie, robi wielkopomną przysługę wielkiej ojczyźnie germańskiej, więc też nie zrażały ich żadne przeszkody.

Bohaterzy szli krótką chwilę i nagle w pobliżu chłopców, rozrzuconych jak wianek barwny na polance,

rozległ się gwizd tak głośny, że mógł odbić się echem nawet na oddalonym rynku miasteczka.

Wystraszeni chłopcy spojrzeli w stronę, z której dochodził ten sygnał—i oniemieli.

Pomiędzy zaroślami stał i uśmiechał się złośliwie sam, dobrze znany każdemu dziecku w mieście, burmistrz we własnej osobie swojej.

Nie było czasu na schowanie, albo zniszczenie książek i notatek, tem więcej, że w zaroślach wszczął się nowy ruch i kolejno wylaniać się z nich zaczęli członkowie szlachetnej obławy, z groźnym rektorem na czele.

Chłopcy nie wstali nawet na ten widok, siedzieli, jak przykuci do ziemi i tylko wielkimi, trwożnymi oczyma, wiedli od jednej groźnej postaci do drugiej.

— Czy panu nie mówiłem? — zawołał burmistrz, patrząc tryumfująco w stronę rektora. — Nie chciałeś wierzyć...

— To rzecz niesłychana! W mojej szkole zdarzyło się coś podobnego! Nie, to niepodobne do wiary! Przecież trzymam uczniów krótko!

— Na buntowników polskich nie poradzi nic!—zaśmiał się burmistrz.

— Co jednak teraz zrobić?—mruknął rektor bezradny.

— To już rzecz pana; co do mnie, wiem jak należy uczynić.

To rzekłszy, ojciec miasta, jak tygrys podskoczył do siedzących na murawie dzieci i krzyknął groźnie:

— Żadne wykręty nie pomogą teraz! Powiedzcie, co robicie w tem miejscu?

Słowa te oddziały. Pierwszy podniósł się najniespodziewaniej mały prosty Janek Przegrodzki i zdejmując grzecznie czapkę, odparł śmiało:

— Udaliśmy się na wycieczkę.

— To widzę!—wybuchnął burmistrz ponownie.— Co jednak znaczą te książki, papiery, kajety?

— Uczyliśmy się i czytaliśmy—przyszedł Jankowi w sukurs ośmielony już również Marcinek, a wstając i podciągając pasek, który podtrzymywał dolną część ubrania, dodał:

— W mieszkaniu jest duszno, więc poszliśmy na wyspę.

— Głupie gadanie!—huknął teraz pan Knotke.— To się pokaże, czy jesteście tacy niewinni, jak opowia-

dacie. Te książki i „dokumenty“ okładamy aresztem. Będą one przejrzone i zbadane.

Wszyscy dostojni mężowie pochylili się teraz ku ziemi i skrzętnie zbierać zaczęli książki, kajety, najdrobniejsze świstki i ołówki.

— Ho! ho! nawet z mapami wybrali się na wycieczkę!—ryczał, udając śmiech wesóły burmistrz krzywiński.—Naturalnie! Trzeba przecież rozstawiać przysze hufce polskie, orjentować się w położeniu.

— Jutro pogadamy!—wtrącił teraz rektor, który po przejściu pierwszego wrażenia, wrócił już do swojej równowagi i jowiszowej powagi.

Jak tryumfatorzy, powracali mężowie do miasteczka, a każdy niósł z sobą trofea, zdobyte na wyspie. Tak byli pewni, że spełnili wielkie dzieło, że uratowali wielką Germanię od nowego zamachu polskiego, iż we własnych oczach urosli teraz na wielkich bohaterów.

Na drugi dzień cały świat niemiecki powinien się był dowiedzieć, że w małym mieście poznańskim powiodło się odkryć „szeroko rozgałęziony spisek polski“, do którego należała młodzież szkolna, a którego oczy-

wistym celem była chęć oderwania prastarych dzielnic niemieckich od całości państwa.

Chłopcy pozostali jeszcze przez czas jakiś na wyspie. Po odejściu groźnych mężów stanęli strwożeni, bladzi, błędnem okiem wodząc do koła.

— Żle!... — szepnął wreszcie Władek, jak gdyby się lękał, ażeby i teraz jeszcze nie podsluchiowano z boku.

— Bardzo źle! — zawtórowano ze wszystkich stron. — Jutro nastanie sądny dzień w szkole!

Janek, już mężczyzna dorosły, zaczął chodzić dużymi krokami po łące, głowę zwiesił, ręce skrzyżował na plecach i wreszcie przystanął przed zadumanymi kolegami.

— Et!... co tu gadać!... Nie poradzimy na to nic zgoła! Co ma być, niech będzie! Przecież głowy nie urwą!...

— Ale bić będą, do aresztu wsadzą! — przerwał Wawrzynek Gałązka, najmłodszy z tej gromadki, i lzy ukazały się w jego oczach.

— Albo to nam pierwszyna! — zawołał Marci- nek Zawala. — Przeboli i minie, a choćby oni nie wie-

dzieć co nam zrobili, to my jednak trzymać się będziemy dalej.

— Ma rację Zawała! — zawtórowała mała gromadka, i radziła dalej, ale tym razem z pewną zajądłością. Kiedy jeszcze dla dodania kolegom animuszu Władek zaintonował hymn Felińskiego, a wszyscy zdjęli czapki i pochwycili słowa i melodyę tej pieśni uroczystej i każdemu znanej, wtedy nowy duch wstąpił w chłopców.

Zmrok już zapadał, gdy członkowie „kółka“ przeprawiali się w łódce ku miastu, w którym już obiegala wieść złowróżbna, rozsiewana skwapliwie przez mieszkańców niemieckich.

Nazajutrz, nawet wtedy, gdy groziła burza w powo-
du modlitwy, nie szli chłopcy z taką trwogą i takim biciem serca do szkoły, jak owego poniedziałku, który następował po odkryciu na wyspie.

Jadwiga Przegrodzka omal nie zemdlala, gdy żegnając rano Janka, zamknęła za nim drzwi sklepu i patrzyła, jak ze zwieszoną głową i ociężale posuwając się naprzód, zniknął na skrócie w bocznej ulicy.

Nogi uginały się pod nią, zdawało się, że upadnie; trzymając się też ściany, podeszła z trudem do

drugiego pokoju i tu przed łóżeczkiem syna zsunęła się na kolana.

— Boże, Boże! — jęczała. — Zmiłuj się na synem. On umrze, on nie wytrzyma katuszy, to dziecko jeszcze.

Basia przytuliła się do matki, spoglądała na płaczącą kobietę i czepiając się jej sukni, rzekła:

— Dlaczego Janek chodzi do tej przebrzydłej szkoły? Mnie tam mama nie pošle, prawda?

— Oj, nie pošle, nie! — Uśmiechnęła się Jadwiga przez łzy. — Choćbym od ust sobie miała odjąć, ciebie nie puszcę i nie oddam w ręce tych katów!...

Godziny wlokły się straszliwie; w handlu ruch panował, jak zwykle, niewielki, więc też Przegrodzka doczekać się nie mogła powrotu syna.

Nareszcie!... Na zakręcie ulicy parę minut po godzinie dwunastej, ukazał się powracający ze szkoły Janek.

— Jakiś wesoły nasz panicz! — mówiła Wojciechowa.

— To nic nie znaczy—odparła Jadwiga, którą te

słowa nie uspokoiły bynajmniej.— Ma naturę ojca, nie chce mnie martwić.

Ale Janek rzeczywiście rażno i wesoło wszedł do sklepu.

— I cóż, cóż? —zawołała Przegrodzka.

— Nic! —zaśmiał się chłopiec.

— To być nie może! Wszyscy mówili, że... że was czekają okropne plagi.

— A tymczasem nic, ani słowa o wypadku wczorajszym. Aż nas samych to korciło.

— Przygotowują pewno zwolna katusze! —pomyślała Jadwiga.

Nie myliła się Jadwiga: przygotowano nowe katusze.

Rozpoczynanie lekcji pacierzem niemieckim było pierwszą próbą, ażeby się przekonać i o usposobieniu polskiej dziatwy szkolnej. Po tej próbie postanowiono cały wykład religii zaprowadzić w języku niemieckim i zawiadomiono nauczyciela Wędlickiego, ażeby odtąd zastosował się do tego.

Ale w starym nauczycielu odezwała się dusza polska. Po kryjomu zawiadomił o tem wikaryusza, sam się położył do łóżka i udawał chorobę.

Zdobycie nowej siły nauczycielskiej wyznania katolickiego nie było łatwe, że jednak „choroba“ Wędlickiego wciąż się przedłużała, a rozpocząć naukę chciano jak najprędzej, więc znęcono hojnym dodatkiem do pensyi Niemca-katolika, który podjął się zastąpić chorego kolegę.

Na drugi dzień zaraz rektor zainstalował pedagoga, noszącego czysto niemieckie nazwisko „Tschermitsky“ i rozpoczęła się lekcya religii.

Powiadomiony o przygodzie na wyspie, nowy nauczyciel zanotował sobie sumiennie nazwiska wszystkich chłopców, przyłapanych wówczas na gorącym uczynku i postanowił najpierw rozprawić się z nimi.

Na pierwszy ogień poszedł Marcinek Zawała. Pan Tschermitsky zadał pytanie. Żadnej odpowiedzi. Nauczyciel powtórzył głosem podniesionym i groźnie. Chłopiec przestępował tylko z nogi na nogę, lecz milczał zawzięcie i tylko usta zacisnął z wyrazem wielkiej zaciętości i rezygnacyi.

— Ja cię nauczę odpowiadać! — krzyknął wtedy Tschermitsky i długa trzcina spadła kilkakrotnie na plecy, ręce i ramiona Marcinka, który zniósł ten ból i nie jęknął, nawet się nie poskarżył.

Nauczyciel puścił swoją ofiarę i zwrócił się do Władka Majsterskiego. Przykład kolegi zachęcił chłopca i powtórzyła się ła sama historia.

— Przegrodzki!—zawołał pedagog z kolei.

Janek wstał i jak dwaj jego poprzednicy, milczał, jak grób.

— Nie! tego już zanadto!—huknął Tschermitsky, aż szyby zadrżały w oknach.

Chłopiec uśmiechnął się boleśnie, a ten uśmiech wprowadził w szal wściekłości przedstawiciela kultury niemieckiej.

Jak tygrys podskoczył do trzeciej ławy, w której było miejsce Janka i wpił mu palce swoje w długie jasne włosy. Trzymając w ten sposób chłopca, uniósł go w górę, wyciągnął na środek klasy i tu dopiero przemocą rzucił na ziemię, aż ziemia jękała.

Wszystkie dzieci przerażonemi oczyma patrzyły na tę scenę, ten i ów zaczął płakać głośno, ale ten płacz zamiast uspokoić, jeszcze więcej rozdrażnił nauczyciela.

Janek leżał na podłodze, nie mogąc powstać.

Na nim stał Tschermitsky z trzcinaą wzniesioną do góry.

— Wstań! — krzyknął wściekle.

Janek usiłował się dźwignąć, bolały go jednak wszystkie kości, więc czynił to z trudem.

— Wstań natychmiast!—ryczał Tschermitsky.

— Ha, ha! nie chcesz, łotrze! To ja ci zaraz do tego pomogę!—zaśmiał się piekielnie pedagog i zaczął zadawać uderzenia trzcina po łydkach.

Janek zwinął się w kłębek z bólu, trzcina jednak spadała ciągle na niego, każde zaś uderzenie zaznaczało się świstem w powietrzu.

Dziecku łzy spływały strumieniami z oczu, nie posunęło się jednak do prośby o przebaczenie.

Trzcina znów świsnęła w powietrzu i spadła tym razem na twarz małego Przegrodzkiego.

W klasie zerwał się naraz krzyk tak straszny, że przeszył mury gmachu szkolnego.

Z ucha skatowanego dziecka popłynęła krew, Janek zaś bez czucia leżał na podłodze szkolnej.

— Ratujcie! Zabił go! zabił!—wrzeszczały dzieci i nie zważając już na nic, cisnąć się zaczęły do drzwi, do okien, ażeby jak najprędzej i jak najdalej uciec od tego piekła.

Na widok krwi cofnął się wreszcie Tschermitsky od swojej ofiary i wystraszonemi oczyma patrzył na ten ruch, który się wszczął w szkole.

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu ukazał się rektor.

— Co to jest? — krzyknął groźnie, ale w zamian otrzymał wybiegłą z kilkudziesięciu piersi odpowiedź:

— Przegrodzki zabity!

Rektor teraz dopiero spostrzegł leżącego bez życia Janka — i zbladł straszliwie.

— Co to znaczy? — zapytał surowo nowego nauczyciela.

— Ten chłopiec udaje! — wybąknął niemniej błady Tschermitsky.

Rektor nie odrzekł nic i pomimo całej powagi, nachylił się nad Jankiem, starając się dopomóc chłopcu do podniesienia się z ziemi. Przy tej czynności dotknął się przedewszystkiem ręki małego Przegrodzkiego, która od razów, otrzymanych trzcinką, przybrała kolor zielonkawy.

Dotknięcie miało wielki wywołać ból, Janek bo-

wiem syknął i przerażony chciał się usunąć jak najdalej.

— Nie, panie Tschermitsky! — szepnął teraz naczelnik szkoły—to nie jest udawanie. Byłeś pan bardzo nieostrożny. Teraz trzeba tylko coś poradzić, ażeby ta niemiła przygoda nie przybrała wielkich rozmiarów.

Rektor opuścił klasę, pozostawiając w niej wystraszonego, i jak gdyby przykutego do ziemi nauczyciela, trzymającego ciągle narzędzie katuszy w opuszczonej ręce.

Dzieci nie krzyczały już i tylko zbite w jedną wielką gromadę, przerażonemi, osłupiałemi oczyma, partryły na kolegę z raną krwawiącą u ucha.

Po chwili zjawił się władca szkolny, ale tym razem w towarzystwie służącego i pana Knotkiego.

Wszyscy trzej zajęli się teraz podniesieniem z ziemi Janka Przegrodzkiego, co im też powiodło się nie bez trudu, chłopiec bowiem przy każdym dotknięciu wydawał jęki tak żalosalne, że w całej klasie odezwał się wtór, objawiający się rzewnym płaczem kolegów.

Pochód z jęczącym chłopcem skierował się w stronę pokoju nauczycielskiego, gdzie Janka położono na stole, zielonym sukniem pokrytym.

Pod głowę podsunięto mu plik aktów urzędowych.

— Sprawa stanęła bardzo źle — rzekł rektor — nie możemy jednak dopuścić do skandalu. Dziecko trzeba postawić na nogi, drzwi obstawić szczelnie, ażeby nikt do ukończenia lekcji nie opuścił gmachu szkolnego i nie rozniósł przedwczesnej i przesadzonej wiadomości o tem, co się stało tutaj. Później sam pójde wprost do pani Przegrodzkiej i uprzedzę ją łagodnie. Tymczasem podajcie mi wodę, ręczniki, wate, roztwór karbolu—zakomenderował naczelnik.

Rozkaz spełniony został natychmiast, a przyznać trzeba, iż dostojnik małomiasteczkowy z wielką umiejętnością, troskliwością i łagodnością zajął się uczniem pobitym. Przedewszystkiem krew została zatamowana i wymyta. Rektor odetchnął z ulgą.

— To było najgorsze!.. — rzekł — trochę sińców i pręg małą już tutaj odgrywa rolę.

W dbałości swojej nie tyle o chłopca, ile raczej o reputację szkoły, rektor posunął się nawet tak daleko, że sam poszedł do mieszkania, przyniósł Jankowi kieliszek wina, dla sam również przeprowadził małego Przegrodzkiego ku fotelowi, na którym go posadził, dodając łagodnie:

— Nic ci nie będzie, ale na przyszłość pamiętaj, że upartym i krnąbrnym w szkole być nie wolno.

Teraz dopiero zwrócił się naczelnik do stojącego ciągle z trzcina w rękę Tschermitsky'ego.

— Proszę mi podać tę trzcinę!

Rektor obejrzał narzędzie dokładnie i uśmiechając się dziwnie, rzekł:

— Podobna ona raczej do drąga i są nawet ślady krwi na niej. Tego rodzaju „corpus delicti“ zniszczyć trzeba koniecznie i zastąpić inną, mniej grubą trzcinką.

Usiłował trzymany w rękę przedmiot złamać, lecz zdołał tylko zgiać, poczem otworzył drzwiczki od pieca i wrzucił trzcinę.

— Dziękuję panu! — wybąknął nareszcie Tschermitsky.

— Nie dziękuj! — przerwał rektor. — Przecież tu również chodzi o moją skórę. Zrobię wszystko, co tylko będzie można, ale za dalszy przebieg nie ręczę.

Janek przez cały dalszy ciąg lekcyi nie powrócił już do klasy swojej i przez trzy godziny przesiedział na fotelu w gabinecie. Ażeby zaś zupełnie uspokoić i ułagodzić chłopca, sama pani rektorowa własnoręcz-

nie przygotowała czekolady i postawiła wraz z biszkoptami przed Jankiem.

— Nie trzeba płakać—rzekła łagodnie, głaszcząc dziecko po długich kędziorach.—Nie zapominaj, że jesteś mężczyzną, a mamusia zmartwiłaby się bardzo, gdyby zobaczyła łzy na twojej twarzy.

W odpowiedzi Janek westchnął tylko i jęknął, ale podanej czekolady nie tknął wcale. Stała ona długo na biurku przed fotelem i wystygłą uprzątnął wreszcie służący, zapewne, ażeby ją zanieść dla własnych dzieci.

VII.

Zwykle rwący się do gniazda rodzinnego po od-cierpieniu czyśca w szkole pruskiej, Władek i Marci-nek wolno tym razem opuszczali gmach i oglądali się ciągle, aż ich prawie gwałtem wypchnąć musiano z sie-ni. Znalazłszy się na ulicy, chłopcy przystanęli i ciągle wpatrywali się w bramę.

— Dokąd teraz się udać? — zagadnął Władek.—
Czy do pani Przegrodzkiej, czy też do księdza wika-rego?

— Poczekajmy jeszcze trochę! — odparł Marci-nek—przecież nie wiemy, co się stało z Jankiem.

Czekali nie długo, po kilku minutach ukazał się w bramie mały Przegrodzki i zwolna, opierając się o ścianę, schodzić zaczął po stopniach, wiodących na ulicę.

Natychmiast podskoczyli obaj chłopcy i podparli z dwu stron słaniającego się kolegę. Janek z serdeczną wdzięcznością popatrzył na wiernych druhów, nie rzekł jednak ani słowa.

— Żyjesz, Bogu dzięki!—wołał Zawała, a w oczach ukazały mu się łzy radości.

Janek zwiesił głowę, a z ust jego wybiegło szeptem:

— Boli, okropnie boli...

— Gdzie czujesz ból?—czule zapytał Władek.

— Wszędzie... Ach! moja głowa tak szumi okropnie...

— Uspokój się, otrząśnij trochę, odprowadzimy cię do domu, położymy!

— Nie! tylko nie do domu!—jęknął Janek.—Mamusia, biedna mamusia!

— Przecież nie zrobiłeś nic złego, więc pani Przegrodzka gniewać się nie będzie na ciebie.

— Ale tak się zmartwi, tak się zmartwi...

— Eh! bajesz, my to już wytłómaczymy — rezolutnie zawołał Marcinek.

Zanim Majsterski i Zawała zdążyli, męcząc się nad unoszeniem prawie w powietrzu kolegi, że aż pot

obficie spływał im z czoła, doprowadzić Janka do sklepu pani Przegrodzkiej, już niemal cały Krzywlin wiedział o wypadku w szkole.

Dzieci, które jak bomby wpadły do domu rodziców, zaraz na progu, nie zdemnując nawet okryć, zaportowały o wszystkim.

Natychmiast ten i ów porzucił rozpoczęty już obiad i wybiegł na ulicę, a za chwilę przed domem kupcowej uformował się zbity tłum, złożony z mężczyzn i kobiet, radzący cicho nad zajściem.

Kiedy też Zawala z Marcinkiem, prowadzący Janka, ukazali się w pobliżu, poszedł szmer głuchy przez ten tłum i wszyscy skierowali oczy na ten dziwny pochód.

Nagle, jak gdyby na komendę, zbита dotąd gromada rozstała się i tym sposobem utworzył się szpaler dla przepuszczenia chłopców!

— Co to za zbiegowisko przed naszymi oknami? — zapytała Jadwiga Wojciechowej i dodała: — Od czasu owych scen na Placu Teatralnym, uczuвам dziwny lęk przed każdym większym zgromadzeniem się ludzi na jednym miejscu. Wybiegnijcie, moja Wojciechowo, i dowiedzcie się, co tam zaszło?

Starej służącej nie potrzeba było tego dwa razy powtarzać. Wybiegła, pomówiła słów kilka z najbliższymi stojącymi i—zrozumiała wszystko. Gdy zaś jeszcze zdaleka dostrzegła nadciągających chłopców, postanowiła działać szybko!

— No, i cóż? — zapytała Jadwiga.

— Podobno w szkole zbili aż do krwi pewnego chłopca za to, że nie chciał się uczyć religii po niemiecku—odparła Wojciechowa na pozór spokojnie, lecz równocześnie z drzeniem w głosie i nie patrząc na panią swoją.

— Jakiż to chłopiec? — zawołała Przegrodzka.

— Nie wiem—skłamała służąca.

Jadwiga przyskoczyła do starej kobiety.

— Wojciechowol! Nie męczcie mnie; przeczucie nie myli!... To Janek! — Krzyknęła straszliwie, odtrąciła od drzwi kobietę i wybiegła na ulicę.

Tłum stanął jak wryty, zapanowało milczenie grobowe i jeden ze starszych mężczyzn uchylił kapelusza na widok zrozpaczonej matki małego męczennika.

W jednej chwili wszystkie głowy się obnażyły. Szpalerem ku dziecku swojemu pędziła teraz Jadwiga.

Nikt nie starał jej się powstrzymać i tylko rozległ się przeraźliwy płacz kobiet, gdy nieszczęśliwa matka, znalazłszy się w pobliżu Janka, na jego widok wyciągnęła ręce przed siebie, oczy wzniosła w górę, zachwiała się, wydała z siebie okrzyk straszny i... runęła na bruk uliczny.

— Ratunku!—zawołano z różnych stron, taka jednak bezradność opanowała wszystkich, że przez dobrych kilka minut leżała Jadwiga zemdlona na ziemi, a nad nią stało trzech chłopców z Jankiem pośrodku.

Z okien pierwszego piętra gmachu szkolnego, po za firanką ukryty, patrzył na tę scenę poważny, zimny, sztywny pan rektor.

Nie odpowiadał żonie, która zasypywała go nieustającymi pytaniami i drżąc na całym ciele, nie śmiała się zbliżyć do okna. Dopiero, gdy zbity tłum ponownie się rozstał i gdy na środku rynku ukazała się wyniosła postać młodego mężczyzny w sutannie, który przybiegłszy do Przegrodzkiej, zaczął ją cucić i wogóle zajął się ratunkiem matki i syna, rektor odsunął się od okna i mruknął niespokojnie:

— Głupa historia! Ha! ale to wszystko dla chwały naszej wielkiej ojczyzny niemieckiej!

* * *

Wiadomość o wypadkach w Krzywiniu lotem strzały rozbiegła się po wszystkich zakątkach ziem polskich, wcześniej też dowiedział się o tem pan Cząstowski i wybierał się już w podróż do Krzywina, ażeby wesprzeć wdowę, gdy pewnego dnia najniespodziewaniej otrzymał list od pani Jadwigi Przegrodzkiej. List ten przeczytał z drżeniem pani Przegrodzka pisała:

„Szanowny Panie!

„Do ostatniej chwili ludziłam się, że wytrwam w tych piekielnych stosunkach tutejszych, przeceniłam jednak swoje siły. Dziś widzę, że trzeba mieć ku temu inny hart duszy. Poznańscy ten hart posiadają, mnie go zabrakło. Po wypadku z Jankiem zbrzydł mi Krzywina. Nie wychodzę wcale na miasto, ile zaś razy spojrzę na gmach szkolny, drżę przerażone.

„Wczoraj odbył się proces, wytoczony Tschermitskiemu. I co pan powie? Uniewinnili go, sąd

uznał, że ten pan, nie przekroczył władzy, nadanej nauczycielowi! Świat się kończy... Uwolniony przez sąd, kat dzieci polskich, może jeszcze order dostanie i „ostmarkenzulagę“, mnie zaś i księdzu wikaremu wytoczył proces o oszczerstwo. Byłam z tego powodu u adwokata, który nie tylko nie robi żadnej nadziei, ale co więcej, ostrzega, że na wypadek, gdyby Tschermitsky wygrał i tę jeszcze sprawę, to mnie, księdza i kilku świadków, czeka kara więzienia. Czyż wobec tego mogę dłużej pozostać tutaj?

„Spełniłam wolę nieboszczyka męża, ale dłużej wytrwać nie mogę, nie mogę... Więzienie... Nie! Mąż przebaczy mi z tamtego świata, gdy powrócę do Warszawy. Gotowa jestem szyć, prać, byle znaleźć kawałek chleba. Jakie to szczęście, że ową 25-rublówkę, daną mi przez pana, utrzymałam do tej pory nie zmienioną!... Te pieniądze wystarczą na drogę i na opędzenie pierwszych potrzeb w Warszawie, a później znajdzie się przecież cośkolwiek, znaleźć się musi. Oczekujcie mojego przybycia lada dzień.

„Żegnaj mi biedna, łzami przesiąknięta ziemi

wielkopolska! Nie skarżę się na ciebie za to, że mi tu było tak źle. Tyś niewinna, tyś moja, tyś równie droga sercu, jak Mazowsze, ale żyć z tobą i dla ciebie, trzeba od dziecka wdrażać się do walki na śmierć i życie. Wstyd mi przed wielkopolanami, wstyd przed sobą samą.

„Niestety! ostatnie wypadki mnie złamały zupełnie i skrzydła mi opadły. Wiem, że i u was nie ma raj, a jednak wracam. Do widzenia wierny i jedyny przyjacielu!... Może za tydzień, tam, w Warszawie, wypłacę wszystkie łyzy, które mi oczy zalewają. Z chwilą, gdy przejadę granicę, zatelegrafuję do was.

Zawsze wdzięczna

Jadwiga“.

K O N I E C.



„PRZYJACIEL DZIECI”

Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce
≡ i rozrywce młodzieży poświęcone. ≡



Wszystkie tomy wychodzą w ozdobnej oprawie za którą nadsyłać należy po kop. 15 o każdego tomu.

Cena tych książek dla nieprenumerujących „Przyjaciela Dzieci” wynosić będzie w handlu księgarskim kop. 60 za egzemplarz, czyli rub. 7.20 za tomów 12.

PRZYJACIEL DZIECI

w części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, po

wieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Redaktor JAN SKIWSKI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie
kwartalnie rub. 1.—
rocznie rub. 4.—

Z przesyłką pocztową
kwartalnie rub. 1.25
rocznie rub. 5.—



☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼
Kantor Prenumeraty
Aleje Jerozolim. 49.
☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼ ☼

59131 n 160-

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

111080